Nr. 1. Lwów, dnia 30. stycznia 1897. Rok XX



PRENUMERATA ROCZNA:
10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI
z początkiem każdego miesiąca.

XX.

W nagłówku pisma naszego stawiamy dziś po raz pierwszy cyfrę XX. Dwudziesty rok swego istnienia rozpoczyna „Łowiec". Jakiż to poważny odłam czasu! Ileż miłych wspomnień, ileż przebytych wrażeń, ileż pożytecznej pracy około polskiego łowiectwa mieszczą w sobie te minione lata!

Gdy dziś, w ciszy wieczornej, przerzucamy karty tych dziewiętnastu roczników, zajmujących poważne miejsce w naszej literaturze łowieckiej, otacza nas cały zastęp dobrze znanych osób; widzimy je oczyma duszy, gdyż nigdy już nie przemówią do nas żywemi słowy, nie oddadzą serdecznego uścisku dłoni, jak ongi za życia, nie chwycą broni myśliwskiej do ręki, ani pióra, aby spisać to, co widzieli, zbadali i przeżyli...

W odległej krainie cieni zaczyna się już nurzać początek „Łowca" — niewielu pozostało, którzy go stworzyli i przy sztandarze jego stoją — a przecież sprawa łowiectwa nie dozwala mu ustać w pochodzie, wskazuje mu dalsze horyzonty przyszłości, i dla pociechy serc łowieckich a dla dobra całego kraju, każe mu iść dalej.

Kreślimy więc cyfrę XX. i oderwawszy się od wspomnień przeszłości, rzucamy się naprzód, aby dalej służyć wiernie sprawie łowiectwa polskiego.

* * *

Nie możemy już, jak ongi, czerpać z samego wątku tradycyi. Przepiękne obrazy łowiectwa historycznego rozpłynęły się w mgle wieków i nigdy już odczarować się nie dadzą. Wraz z całą kulturą nowoczesną wyszło i łowiectwo z obsłonek romantyzmu, wstąpiło na tory trzeźwej, oględnej, świadomej celu pracy, przestało być jedynie rycerską rozrywką, a zanurzywszy się w troskach utrzymania zwierzyny łownej, wchodzi na tory umiejętnych badań przyrodniczych i prawnych postanowień, które wśród zmienionych warunków nowe mu stanowisko zakreślają.

Łowiec dawnych czasów, władzca dziewiczych puszcz, mógł nie słuchać innego głosu, prócz własnej namiętności myśliwskiej; łowy jego, to była niemal walka we własnej obronie, wypowiadana drapieżcom i szkodnikom, które pochłaniały łowca, gdy on ich nie

odparł. Pod hasłem: *hodie mihi, cras tibi* toczył się pojedynek człowieka ze zwierzem.

Dziś łowiec jest tylko jednym szeregowcem w armii, która musi słuchać wspólnych praw i przestrzegać wspólnych przepisów, aby i dla ekonomicznych stosunków kraju i dla przyjemności myśliwskiej łowiectwo na odpowiedniej wyżynie utrzymać. Kto w tej armii chce mieć za przewodnika tylko własną, ślepą namiętność lub, co gorzej, chciwość mięsa — ten robi wyłom w działaniu armii i musi być w tej samowoli poskramiany.

Ztąd potrzeba łączności i związków między myśliwymi — ztąd konieczność wzajemnej kontroli i porozumienia, aby usuwać wspólnemi siłami wszystko, co przeszkadza racyonalnemu rozwojowi łowiectwa, a czynić to, co mu sprzyja, co je podnosi.

Z tego poczucia wypłynęła potrzeba zawiązania naszego Towarzystwa łowieckiego i ono też nakazuje aby Towarzystwo nasze dalej utrzymać, rozszerzyć, wzmocnić, uczynić go potężną armią łowców całego kraju.

* * *

Nie chcemy uderzać w ton skargi i narzekań, lecz mielibyśmy powody oskarżać członków Towarzystwa o obojętność dla spraw łowieckich, czynić im wyrzuty, że rozluźniają spójnię, że nie odnoszą się z dawniejszą żarliwością do Wydziału Towarzystwa, że o organie swym własnym, o „Łowcu", zbyt często zapominają.

Armia, dotknięta taką skargą, mogłaby jednak podnieść głos na swą obronę i rzec, że generalicya ją zaniedbuje — mogłaby oskarżać wzajemnie, że Wydział Towarzystwa zbyt jest skromnym i cichym, że za mało daje znaków życia, aby armię zagrzać do działania

Byłby to spór może gorący — ale nierozstrzygnięty. Pozostaje wszakże fakt niewątpliwy, że obojętność i apatya wtargnęły w szeregi łowców, i właśnie w chwili, gdy prawidłowe łowiectwo z różnych stron jest zagrożone, gdy wymaga czujności i gorącej obrony — łowiec zasypia na posterunku i zdaje się nie myśleć o przyszłości.

Lecz nie — rąk nie opuścimy. Właśnie w tej chwili nowe życie zaczyna tętnić w Wydziale galic. Towarzystwa łowieckiego. Akcya zmierzająca do ożywienia i rozszerzenia Towarzystwa — wstrzymywana przydługiem a nadaremnem czekaniem na sankcyonowanie nowej ustawy łowieckiej — została obecnie na nowo podjętą. Szczególniej energia członka Wydziału, Ordynata T. Czarkowskiego - Golejewskiego, który z niezwykłym zapałem, osobistą pracą i ofiarnością sprawę reorganizacyi Towarzystwa zainicyował, zapowiada nową i lepszą erę w rozwoju Towarzystwa. I „Łowiec" zatem w dwudziestym roku swego istnienia, nie opuszcza rąk z kwietyzmem staruszka, idącego na emeryturę, lecz podnosi z zapałem odświeżony sztandar łowiecki, i liczy w swym dalszym pochodzie na świeże i liczniejsze posiłki.

* * *

Najłatwiej jest pisać programy — najtrudniej wykonać je należycie. I my nie zapuszczamy się w kreślenie programu, poczuwamy się wszakże do obowiązku streścić z początkiem roku to, co nam czynić należy.

Statystyka i cały ruch łowiecki w kraju powinny znaleść odbicie swe w działaniu Towarzystwa i w szpaltach „Łowca". W tym względzie obumarło wśród nas bardzo wiele — i tu powiać musi świeży prąd życia. Delegaci Towarzystwa pozostawiają w spełnianiu swych obowiązków bardzo wiele do życzenia. Nastąpić musi tedy odnowienie i lepsze zorganizowanie instytucyi delegatów. Wszakże interesa ochrony i hodowli zwierząt łownych, ścisłego przestrzegania przepisów łowieckich, racyonalnego wydzierżawiania polowań, karania przekraczających przepisy łowieckie i ścigania kłusowników — wymagają dziś równej, jeśli nie czujniejszej opieki, niż dotąd. Przez kogóż ma tu działać Towarzystwo? Przez swych delegatów. A czy działa jak należy? Bardzo niedostatecznie. Nawet zwykłych raportów o zwierzostanach i odbytych polowaniach „Łowiec" nie otrzymuje. Odnowienie więc i zreformowanie instytucyi delegatów jest pierwszym i najważniejszym postulatem.

Poruszenie życia w Towarzystwie łowieckiem wymaga jeszcze innych środków. Nie dość, jeżeli towarzysze zetkną się tu i owdzie w kniei. W poszczególnych okręgach, przy współdziałaniu delegatów powinny się odbywać zjazdy łowieckie dla wzajemnego poznania się i omawiania spraw łowiectwa. A już raz do roku winien się odbyć krajowy zjazd łowiecki.

Czyżto myśliwi nie są ludzie towarzyscy? A czyż nie mają dość wątku we wspólnem zamiłowaniu, ażeby choć raz do roku się zjechać i o wspólnych sprawach pogwarzyć? Wypróbowanie nowych systemów broni myśliwskiej, nowych prochów i nabojów, strzelanie do tarczy i do celów ruchomych — czyż to nie miałoby dość pociągu dla wspólnego zjazdu?

A czyż łowcy, choć tam gdzieś z lasu, nie byliby w stanie urządzić jakiegoś balu łowieckiego?

Nareszcie, czyż interes dla hodowli psów, tak żywy u każdego myśliwego, nie powinienby wywołać choć raz wystawy psów myśliwskich przy sposobności zjazdu łowieckiego?

Oto luźne myśli, poruszone na programowych obradach Wydziału naszego Towarzystwa, które niechaj służą za punkta reorganizacyi Towarzystwa.

W Polsce łowiectwo nie stanie się nigdy rzeczą obojętną — zanadto głęboko tkwi w naszej krwi i w naszych tradycyach. Miejmy więc otuchę, ze i w naszem Towarzystwie, pod wpływem świeżego tchnienia, prysną przemijające mgły apatyi.

Co nieco o psach.

Napisał
WŁADYSŁAW SPAUSTA.

Principio tibi cura canum.
M. Aur. Nemesianus Kynegetica v. 103.

Wspomnienia — to skarb, który przez nikogo wydartym być nie może. Skarbem wspomnień o naszych pieskach dzieliłem się już z tobą łaskawy czytelniku, a dziś, gdy już przebrzmiały naszczekiwania drążkowych kundli, cukrowania ogarów Ostroroga, patrzę z lubością na winietę naszego postępowego „Łowca“ — tu również ręka artysty uwieczniła kawałek pamiątek przeszłości. I chętnie się stroi nasz „Łowiec“ w starych wspomnień szatę — i brzmią stamtąd bodaj słabe echa dawnej ropsodyi wieków. Wśród rodzinnej natury pełen fantazyı wąsaty Sarmata wygrywa swe fanfary — pędzi jak mityczny Wodan przez knieje Walhali — pędzi przez gąszcze i łomy za krwichciwą złają, przemykającą się przez litery „Łowca“, i zda się dochodzi ucha gra i dziaukot tego orszaku, przywołując pamięci zamarłych czasów dzieje. A strasznie wygląda ta kawalkada! Aż ciarki przebiegają po skórze nowożytnego myśliwego na taki widok. Chyba już nic żywego nie pozostanie, kędy przeleci ten demonów orszak i gdy wreszcie zatrąbi na trupa wąsaty pan lasów i gór...

Ale tak źle nie bywało. Wprawdzie lwia część ugonionego zwierza padała leśnym bogom lub psim pyskom na ofiarę, ale co najmniej kończyło się na hekatombach z ciał zwierza, jakich zapragnęły nasze czasy. Częstokroć wspaniała wyprawa, zaniepokoiwszy ogromne połacie kniej piekielną wrzawą, wracała ze swej romantycznej gonitwy z jednym szaraczkiem, uczepionym u troku lub ukrytym w torbie borsuczej. Uszczwanie zwierza nie było ostatecznym celem — zwierz był tylko koniecznym warunkiem animuszu i inscenowania tej fantastycznej krotochwili, jaką przedstawiała dzika gonitwa wśród tradycyjnej gry psiarni. Tem zachwycali się nasi dawni myśliwi XVII wieku, grę psów niby osobną traktowali sztukę, a w drodze do koncertowej doskonałości na tem polu skryła mogiła wojewódzkiego autora, największego myśliwego swoich czasów, który umarł z wiarą, że zrealizowanie jego ideałów co do doskonałości gry psiarni, tylko *luxuriae dandum est* myśliwców doskonałych (Myśl. z ogary. Wyd. Tur. str. 42.)

Nazbyt często i w każdej porze roku praktykowane łowy z psiarnią, same przez się stwarzały trudności w uszczuciu zwierza, który, zapoznawszy się doskonale ze sposobami łowów, stawał się przebiegłym graczem, używającym wszelkich forteli do salwowania się od strasznej śmierci. Niemałe tu zadanie miała dresura psów, aby odnieść zwycięstwo nad przebiegłością zwierza, aby się przed czasem nie zdradzić i zorganizować całą psią bandę do jedności myśli i celu. Było to możebne, jak nam o tem prawią starzy myśliwi, tylko wtenczas, gdy myśliwiec „jakoby hetman, wódz i sprawca psi“ nazbyt wiele czasu towarzystwu psów poświęcał „gdy go psi miłowali — słuchali i mu wierzyli.“ Osiągnąć to mógł wszelkiego rodzaju karesami, a mianowicie „ma doma między niemi bawić, głaskać, karmić i nietylko z koryta ale i z wacka czemkolwiek na potkaniu, rozmaicie grać z niemi, sypiać między niemi i wszystkich sposobów używać, aby go psi miłowali.“ Miłość jak zawsze i wszędzie cudów dokazywała, jej czary wykryły tajemnicę, zapoznawaną częstokroć jeszcze w dresurze naszych czasów, a znali ją dobrze nasi przodkowie i pochwycili klucz do układu psiarni na wielką skalę.

Czy to drżące basowe odezwały się „achy,“ wieszcząc napad na grubego zwierza, czy zakładając pole na płochego szaraczka, przygrywał róg, krótkim tonem spuszczając na oktawę — nadchodziła chwila uroczysta, z którą ustawały z psiarnią wszelkie objawy przyjaźni i miłości. Nie niewolnik słuchał harapa, ale pętami przyjaźni zniewolony sojusznik spełniał w świadomości rzeczy swe zadanie, a dopiero po czynie, gdy z przewłoką zagrały rogi do jadła i odprawy — odnawiały się konfidencye dozgonnego sojuszu. Lecz w godzinach stanowczych nie znało dawne łowiectwo żartów i karesów; „a który pies wtenczas szedł na pieszczotki, gdy drudzy gonią, kija godzien a ledwie nie gałęzi.“ (Myśliwstwo z ogary 44 str.)

Ale zmieniły się czasy. Nawet starszej daty Nemrodzi, poglądając z zazdrością na szczęśliwego wąsala, przyszli wreście do przekonania, że czasy psów gończych dawnego stylu minęły bezpowrotnie. Postępowe pojęcia co do łowiectwa w ogólności, ciasnota granic, groza ustawy — wszystko uniemożliwia łowy podobne. Nie powrócą więc dawne lata — rzeka w górę nie popłynie.

Więc cóż? Skończyły się już dzieje psa łowieckiego? Czyż oprócz drylingów i wymustrowanej bandy nagonki już niczego więcej do racyonalnego wykonania nowoczesnych łowów nie potrzeba?

Sądzę, że tak nie jest — mylą tylko pozory w stanie gwałtownej reformy, jakiej uległo nasze łowiectwo, a straszydłem stał się tylko pies kniejowy dawnego autoramentu. Praktyka na zachodzie, gdzie postępowe i na zupełnie innych zasadach oparte łowiectwo nowożytne posiada już nieco dłuższe dzieje, poucza aż nazbyt, że hodowla i układ psów łowieckich uległy stosownej do celów zmierzającej zmianie, że pies może być ważnym czynnikiem racyonalnego postępu w wykonaniu łowów nowoczesnych.

U nas, gdy w przejściowych czasach na tem polu myśl cała kierowała się w pierwszym rzędzie ku rzeczom najważniejszym — chodziło bowiem o stworzenie przedmiotu łowiectwa na gruzach dawnej przeszłości — skompromitowany praktyką dziejową pies kniejowy stał się dla hodowcy zwierzostanów przedmiotem nienawiści, i mnóstwo cnotliwych wreszcie ale anachronicznych już gończaków, będących na służbie konserwatywnych myśliwych, zapędziwszy się w sąsiednie knieje, padło wśród boskiego cukrowania pod strzałami wyznawców dążeń postępowych. Nietylko o mur graniczny wrzała swego czasu walka sąsiedzka; również i ścieranie się idei łowieckich rodziło wiele sąsiedzkich kwasów, a pies łowiecki bardzo uparcie ustępował ze swego starego dziejowego pola.

Wśród reformatorskiej pracy lat ostatnich, której wyrazem stał się „Łowiec“, w bardzo skromnym zakresie pojawiają się piśmiennicze prace o psie, a i to przeważnie o wyżle, bez którego łowy polne, a osobliwie ptasze, należące do tak zwykłych rozrywek myśliwych ziemianina, obejść się nie mogą. Od czasu do czasu zaleci w szpalty „Łowca“ jakieś wspomnienie o łowach z gończakami, a częstokroć dla

tej praktyki z oddalonej przeszłości nie wystarcza już proza, wiążą się więc słowa w rytmy i rymy i w tej powabnej formie wygrywa złaja piesków swój dziejowy koncert. Lecz mija epoka przejściowa, w przeważnej części kraju starania usilne dokonały wiele, w niedawnych pustkach pokaźne chowają się zwierzostany, tak, że nadeszła już chwila zainteresowania się kół myśliwskich kulturną hodowlą psa łowieckiego w rasach i odmianach, wskazanych stosunkami obecnymi, a przedewszystkiem ekonomią łowiecką, gdyż niestety na tym sosie musimy urabiać wszystkie potrawy naszych czasów. Nie potrzebuję podobno dodawać, że zapomnieć tu należy zupełnie o gończaku czy też ogarze dawnych czasów, którego cnoty stały się jednym szeregiem psot i zbrodni w oczach nowożytnego łowiectwa. W ogólności każdy pies goniący głosem po kniei zakończył ponoś raz na zawsze swe dzieje i stał się słusznym postrachem hodowcy zwierzostanów. Niestety postrachem był on zbyt banalnym, bo z małymi wyjątkami miły ten przymiot posiadają prawie wszystkie nasze obecne pieski jakichkolwiek ras i zawodów. Przymiot ten, tkwiący głęboko w naturze kundysów wiejskich, w których płynie częstokroć jakaś kropla dawnych gończaków, staje się szkodliwym narowem i innych psów rasowych, którym sama rasowość jeszcze niezbyt wiele udziela.

Pies, choćby najstalszego i najszlachetniejszego pochodzenia, skoro go zaniedbamy, staje się z czasem nieużytym kundysem. Sama czystość krwi ustalonych i uznanych już ras i zawodów psów myśliwskich nie jest zatem pewną rękojmią użyteczności; tak indywidualność jak i dresura grają tu wielką bardzo rolę. To pewna jednak, że prawdopodobieństwo kosztownych zawodów zmniejszy się o wiele, gdy posiadać będziemy materyał, pozostający od dawna pod kontrolą umiejętnej hodowli.

Niegdyś możliwem było utrzymywanie rozmaitych, do pewnych tylko celów służących psów; dziś mało jest takich uposażonych od losu, którzyby sobie na utrzymanie psiarni licznej pozwolić mogli. Wykonujacych myśliwstwo przybywa z każdym rokiem i przybywać jeszcze będzie w miarę rozdrabniania się obszarów łowieckich. W takim stanie rzeczy głównie względy ekonomiczne przemawiają w hodowli psów łowieckich za wytworzeniem odmiany, któraby odpowiadać mogła wszelkim wymaganiom, jakie do psa stawia myśliwstwo nowożytne. Ideał taki, o którym szeroko mówią i marzą nasi sąsiedzi na zachodzie, t. z. *Normalhund*, byłby niezawodnie najwięcej ekonomicznym pomocnikiem w wykonaniu łowiectwa. Pies taki o stałych przymiotach rasowych, w którymby się łączyły zalety kilku zawodów psów łowieckich, a w którymby wysoka dresura i pracowity układ zatarły wszelkiego rodzaju szkodliwe własności—jest niestety dotychczas *pium desiderium* hodowców niemieckich. Istnieje on tylko w mowach i pismach kynologów, lecz w obec całego katalogu wymagań, jakie teoretycy do tego idealnego stworzenia stawiają, pozostanie podobno na zawsze w krainie marzeń. Bo ileż to sztuk i sztuczek umieć musi taki *Normalhund!* Przeczytawszy te wszystkie wywody psiej pedagogii, wygłoszone całkiem serno z mownicy, mimowolnie rodzi się podziw, że mając do czynienia z takim inteligentem, nie wciągnięto także sztuki czytania i pisania w zakres jego edukacyi. Ale chwilkę cierpliwości! Wszak to dopiero pierwsze wydanie *Normalhunda*; w następnych, znacznie powiększonych i uzupełnionych wydaniach, prześcignie on bodaj w teoryi najśmielsze oczekiwania.

W niniejszej rozprawie, ujętej w nader skromne ramy, trudno mi zapuszczać się dalej w dysertacye, o ile kierunek hodowli psa normalnego do pożądanych doprowadzić może rezultatów. Trudno się rozwodzić nad kwestyą, czy materyału ku temu dostarczyć mają psy angielskie, griffony lub psy legawe niemieckie; zaznaczam tu jedynie wysokie zajęcie się tą kwestyą kół fachowych za granicą, i aktualność psa nowożytnego jako ważnego czynnika nowoczesnego łowiectwa.

Najjaskrawszym dowodem, że pies normalny pozostaje jeszcze zawsze w krainie bardzo mglistych ideałów i że w każdym razie niebliską jest chwila, w której taka *Mädchen für Alles* uszczęśliwi myśliwego — są nieustanne spory i gwałtowne różnice zdań ludzi zawodowych na tem polu, a równoczesna hodowla zawodów specyalnych, jakich nowożytna praktyka myśliwska wymaga.

W naszych kołach łowieckich na polu kynologii zupełna dotąd panuje cisza. Nie widać wcale zainteresowania się ogółu psem myśliwskim, na którym niby klątwa cięży wspomnienie przeszłości. Ci wyjątkowi myśliwi, którzy sprowadzili z zagranicy psy rasowe, sparzyli się częstokroć — i dmuchają na zimne. A wina takich zawodów, podkopujących w zupełności wiarę w znaczenie psa rasowego w nowożytnem łowiectwie, cięży na obu stronach, zbyt często bowiem źródło zagraniczne, obliczone na zyski, mimo zachowania wszelkich pozorów, sprzedają materyał lichy — z drugiej zaś znów strony nabywcy, przykładając za wielką wagę do rzekomej rasy, zaniedbują zwierzę, lub przeprowadzają na niem próby dresury przez ludzi w tym kierunku niedoświadczonych. Większość mniej zamożnych myśliwych — a z takich składa się większość — utrzymuje psy bardzo niepewnego pochodzenia; jeden drugiemu podaje taki wątpliwy materyał, z którego przy wszechstronnie korzystnych warunkach urastają czasem dość użyteczne osobnicze wyjątki — i na tem koniec. Hodowla psów łowieckich w znaczeniu, w jakiem słowa tego używamy w naszych czasach, postąpić nie może, i najlepsze osobniki giną wreście bez śladu wobec zaniedbania najważniejszych prawideł fizyologicznych hodowli. Rezultatem tego jest zupełny brak materyału hodowlanego w kraju, a natomiast zwyczaj utrzymywania jakichś pseudorasowców, zwierząt w wielkiej części nieużytecznych, a co gorsza szkodliwych, z pomiędzy których czasem tylko jakiś pojedynczy egzemplarz udać się może.

Gdy już od lat dawnych staramy się wszelkimi sposoby uszlachetnić i na bardziej ekonomiczne tory wprowadzić hodowlę naszej menażeryi domowej — nadeszła wreszcie już kolej i na nasze pieski, a w każdym razie postęp w tym kierunku nie krzyżuje innych planów, bo jest i powinien być tylko pociechą w kulturnych naszych dążeniach. To też myśl o wprowadzeniu hodowli psów w kraju na drogę nieco racyonalniejszą, zajmywała nieraz ludzi fachowych w ostatnich czasach i odbijała się w łamach pism zawodowych.

Ostatnim dowodem nurtowania tej myśli był zamiar urządzenia wystawy psów na ostatniej powszechnej wystawie we Lwowie. Miałem zaszczyt być teoretycznym referentem tego działu — bo rzecz cała nie mogła się wydobyć z ram teoryi i namacalnych psich śladów nie pozostawiła. W lesie rozmaitych ras, zawodów i odmian psów, objętych bardzo bogatym programem, zgubił się pies rzeczywisty i nie pokazał się na wystawie. W braku przedmiotu musiała być wystawa tego działu odwołaną, o tem samem znikła wszelka nadzieja utworzenia przy tej sposobności choćby w najskromniejszym zawiązku towarzystwa kynologicznego, jakie istnieją w byle jakim małym kraiku na zachodzie, ciesząc się powodzeniem i szerokiem zajęciem się publiki. Wielka szkoda,

że różowe nadzieje co do powodzenia tego działu doznały zupełnego zawodu — szkoda, bo nieprędko nadarzy się taka sposobność do popchnięcia sprawy nieco naprzód.

Jeszcze w r, 1892 sprawozdawca z wystawy psów w Wiedniu (Łowiec str. 126) okolicznościowo podniósł potrzebę urządzenia w kraju wystawy psów i skierował do Towarzystwa łowieckiego pytanie: czy nie mogłoby ono wystawy takiej urządzić? A myśląc już podówczas o projektowanej na r. 1894. wystawie lwowskiej, zaliczył do powinności urządzenie tego działu wystawowego.

Niestety! powinności tej społeczeństwo nasze nie dozwoliło spełnić, a pewność szanownego sprawozdawcy, „że nie powstydzilibyśmy się“ okazała się w istocie złudą. Oj, wstydziliśmy się, wstydzili, a już najwięcej sam referent, który po bezskutecznej obławie za sobaką po całym kraju przyszedł wreszcie do przekonania, że to rewir nietyle pusty ile posiadający nadzwyczaj wstydliwy zwierzostan. Krotochwila ta skończyła się ciuciubabką — bo wreszcie i referent, nie chcąc się narażać na przykre w tym kierunku interpelacye, skrył się na długi czas w swem ustronnem zaciszu.

I znów poszła sprawa w odwłokę, pomimo, że nasze koła myśliwskie chętnie korzystałyby ze sposobności nabycia pewnych psów, pomimo, że hodowla i układ tychże nastręczyłyby mniej zamożnym myśliwym (jak to się dzieje na zachodzie) przyzwoity zarobek i co najważniejsza, nie wędrowałby nasz grosz w ręce obce w zamian za towar bardzo wątpliwej wartości.

Zdałyby się nam przedewszystkiem dobre i pewne „posokowce (farbowce), aby mnóstwo postrzelonego zwierza nie marnowało się, jak to przy obławniczych polowaniach dziać się musi; zdałyby się wyżły o wyższej tresurze, z którymi dopiero łowy polne stają się prawdziwą przyjemnością, a wreszcie niemałą podporą w trudnem zadaniu tępienia drapieżników powinien się stać specyalnie do tych celów ułożony jamnik.

Znaczenie choćby tych trzech gatunków psów łowieckich jest nader wielkiej wagi dla nowożytnej praktyki. Zwierz postrzelony a nie odnaleziony, nietylko że jest ekonomicznie zmarnowanym, ale taki w gąszczakach gdzieś ukryty kadawer staje się niemałą ponętą dla całej zgrai drapieżców, których i tak nam niebrak. Pewne gatunki tychże wyczekują tylko niecierpliwie chwili polowania, z którą się rozpoczyna dla nich praźnik.

Postrzelony zajączek dostaje się pod opiekuńcze oko orłów, jastrzębi, lisów a nawet myszołowów i stosownie do okoliczności albo zostaje dobitym, albo niedowierzający swej sile drapieżca czeka cierpliwie nie spuszczając z oka ofiary, póki ona sama nie padnie. Bezczelność rabusiów przechodzi nieraz wszelkie granice. Byłem naocznym świadkiem, jak ukryty gdzieś w gałęziach jastrząb, uderzył natychmiast po strzale na zająca, po którego ruchach poznał nadarzającą się sposobność zdobyczy.

Kto własnem spostrzeżeniem nie pouczył się o bezczelności tej drapieżnej a zresztą tak przezornej zgrai, ten posądzić może mnie o łacinę a co najmniej o przesadę, a już wcale oburzy się, jeżeli dodam, że odgłos strzałów w kniei sprowadza w te miejsca pewne indywidua tej szajki, świadomej doskonale o co tam chodzi. Gdy już przeszła obława, powabna woń świeżej farby zwabia i najpłochliwszych rabusiów; posoka, to szczególny sok, za którym teraz wszystko się budzi do współzawodniczej walki i pogoni. Znaczenie psa, który w takich okolicznościach krzyżuje plany drapieżcy, pominąwszy już inne względy, jest wielkiej wagi w wykonaniu łowiectwa.

W rozmowach o psie polowym, a raczej o wyżle, częstokroć można usłyszeć zdanie, że powodem upadku i zaniedbania hodowli tych psów jest u nas brak dotyczącego zwierzostanu. Gdy będziemy mieli kuropatwy, przepiórki, to i wyżeł się dobry znajdzie. Jest to argument dość często powtarzany, argument pozornie prawdziwy, a w rzeczywistości na zupełnie błędnem oparty mniemaniu. Pies polowy, choćby najlepszy, sam przez się jeszcze przyjemności takich łowów nie nastręczy; koniecznym jest niezawodnie i przedmiot, na którymby dobroć i użyteczność psa wypróbowaną być mogła, a czem uboższą okolica jakaś w ptactwo polne, tem większą okazuje się potrzeba użycia psów dobrych i nadzwyczajnego układu, bo pies kundysiej natury, niesforny, gorączkujący i t. p. po kilku wycieczkach porozpędza i ten słaby zwierzostan, tak, że wreszcie przestanie istnieć przedmiot takiego łowiectwa. Użycie niemal powszechne takich wyżłów, które oprócz częstokroć nadzwyczajnego wiatru żadnej innej zalety nie posiadają, jest we wielu okolicach jedną z przyczyn coraz to bardziej upadającego łowiectwa ptaszego, a zarazem staje się ruiną zwierzostanu polnych zajęcy — bo wyżeł kundysich narowów nie przepuści żadnemu polnemu zajączkowi — starszyznę wypłoszy, goniąc głosem za dziesiątą górę, a nieudolną częstokroć w porze ptaszych łowów młodzież wymorduje do nogi.

Tak znów źle u nas nie jest z polnym zwierzostanem ptactwa, aby wyżeł w tym sezonie łowieckim musiał zalegiwać pole. Jeżeli pusto w polu, to znajdzie się coś na łące lub na błotach, a myśliwy, posiadający dobrego psa, znajduje dopiero prawdziwą przyjemność w wykonywaniu takiego łowiectwa i przez to samo budzi się w nim większy interes dla zwierzyny lotnej. Pies odpowiedni staje się przeto czynnikiem polepszenia się stosunków łowiectwa polnego.

Niezawodnie wielką plagą dla łowiectwa w ogóle, a w szczególności dla łowiectwa polnego, są włóczące się po polach psy i koty rozmaitej proweniencyi, ale ponoś największą niedolą pozostaną zaniedbane wyżły, utrzymywane z niewytłumaczonych powodów po dworach. Są to częstokroć zwierzęta, w których płynie krew ras najszlachetniejszych, a przymioty szczególne, na wytworzenie których składały się wieki hodowli, obracają się w stanie zaniedbania w najszkodliwszym kierunku, gdy pies tego rodzaju podejmuje łowy na własną rękę. Zakosztowawszy raz tych przyjemności, korzysta on z każdej sposobności i o każdej porze stara się wymknąć w pole. Co na placu, to nieprzyjaciel: jajecznica, ptaszek na gnieździe, zajączek młodzik — wszystko to pada ofiarą, a zaciętość i drapieżność przeciw wszystkiemu co żyje, czyni nieraz psy takie istnymi demonami okrucieństwa. Nawet jeż nie zdoła się obronić przed takim napadem; bolesne ukłucia rozjątrzają tylko psa, i wreszcie krwawiąca morda dostaje się do brzucha jeża i wyszarpuje wnętrzności.

Wśród bardzo licznych zastępów rozmaitych niszczycieli zwierzostanów polnych, którym przypisać należy opłakany stan w tym kierunku, występuje zaniedbany rasowy wyżeł jako ów wielki złodziej, uchodzący przed prawem karzącem, gdy ono szajkę małych złodziei dotyka.

Nikt zapewne wątpić nie będzie o wielkiej użyteczności jamnika, gdyby tylko chodziło o tępienie lisów, które dopiero przy tym piesku staje się emocyjną rozrywką. Rozrywka ta urasta wprawdzie na gruncie cierpienia i bolu „naszej starszej braci“ — jak się wyraża pomiędzy innymi humanistami naszych czasów filozof Berine, piętnujący całe my-

ślistwo jako „barbarzyństwo podobne tyranii i wojnie“. — Lecz chociażbyśmy wypowiadanie takich myśli uważali nawet za etyczny postęp ludzkości, to trudno żądać, aby zrealizowanie tego postępu rozpocząć się miało od praktyki myśliwskiej. Reforma na tem polu rozpocząćby się musiała od zaniechania mordów tej nieco łaskawszej „starszej braci“, której śmiertelne szczątki odżywczą swą energią fosforyzują mózg i rodzą myśli postępu, a które ani psów ani żadnych innych „barbarzyńskich“ bo głośnych środków do mordowania nie wymagaja.

Otóż zdaje mi się, że jeszcze nam dość daleko do tej chwili, w której „prawa zwierząt“ staną się nowym dogmatem całej ludzkości — daleko nam do tego raju na ziemi, którego podstawy tworzy sama nasza fizyczna istota, podnosząc bezustannie rokosz w imieniu wysuniętych na pierwszy plan uzurpatorskich praw, mających na oku utrzymania własnego plemienia. Lecz gdy kiedyś ta piękna wybije dla ludzkości godzina, gdy wskutek nowych wynalazków i rozumnych kombinacyi reformatorów społeczeństwa, ludzkość przestanie dependować w ogóle od krwawych ofiar swej „starszej braci“ — wtenczas i myśliwy skruszy zapewne swą kopię, i stosownie do chwili, na łonie uszczęśliwionej natury, będzie nadal tylko myśliwym jej wrażeń i piękna.

Zanim to jednak nastąpi, przejdźmy już raz Rubikon i wytwórzmy w istniejącem już Towarzystwie łowieckiem dział kynologiczny, którego wziął sobie za cel szerzenie racyonalnej hodowli i układu psów, odpowiednich dzisiejszej praktyce łowieckiej.

Na wystawach psów, urządzanych w ostatnich czasach za granicą, istnymi białymi krukami są hodowcy nasi, wśród masy wystawców z rozmaitych krajów. Z małymi wyjątkami zapełniają tam wystawę tropowce, wyżły i jamniki odmian rozmaitych, a ceny psów dochodzą częstokroć do wysokości dla nas wprost niezrozumiałej. Oprócz psów myśliwskich, zajęto się tam również uszlachetnianiem psów zbytkowych, i w całem tego słowa znaczeniu pies w ogólności stał się tam czynnikiem dobrobytu pewnych klas, bo poszukiwanym i bardzo wysoko płaconym towarem.

Od stróżów podwórzowych — od nieszczęśliwych helotów łańcucha, aż do sybarytów wylegających się na tygrysich skórach po wielkopańskich komnatach, lub znów malutkich pieszczoszków płci pięknej, którym atłasowa poduszeczka stała się niezbędnym wymogiem doczesnego żywota — wszystko się tam znajduje. Olbrzymie i wspaniałej postaci dogi dochodzą częstokroć do ceny całej stajni wołów. Na wystawie psów w Monachium w r. 1892 było tego towaru 102 sztuk — a ceny od sztuki 250 do 12.000 marek! Wprawdzie wielkiej konkurencyi w nabyciu sobaki i licytacyi cen skrajnych do góry dopatrzeć się nie mogłem - jednak już sama, choćby nie zrealizowana cyfra, charakteryzuje handel psów na zachodzie. Nawet te najniższe ceny, realizowane za towar pośredniejszego gatunku, muszą nam imponować, przyzwyczajonym albo do barbarzyńskich wyroków na szczenięta, z którymi nie wiedzieć co począć, albo do kłopotów i udawania się do łaski sąsiadów i znajomych w celu rozepchania szczeniaków. Z pieskami jeszcze pół biedy, za darmo jeszcze rozepchać je można, ale z przyszłemi matkami rodu to już rzecz trudniejsza; każdy się boi jak ognia piękniejszej połowy *in spe* dla tej publiki, która w zaniedbaniu hodowli zazwyczaj od czasu do czasu się powtarza.

Ceny psów łowieckich, służących dla celów praktycznych mniej zamożnych klas, nie dochodzą wprawdzie do tej wysokości jak towar zbytku, sportu lub mody pod wpływem konkurencyi bogaczów - jednak i tutaj zrealizowane na ostatnich wystawach specyalnych ceny za pojedyncze okazy psów myśliwskich są nader pokaźne. W Monachium płacono za pointery poniżej 25 klg. wagi do 1000 marek, zawody cięższe do 2000 m., szczenięta iryjskich setterów po 300 m. jamniki po nad $7^1/_2$ klgr. wagi 275 do 350 m. Z pobieżnego tego zestawienia cen psów, jakie znajdywałem na wystawie monachijskiej, można mieć niejakie wyobrażenie o ogólnej wartości nagromadzonego tam materyału i o tej szerokiej drodze, jaką znalazł tu pieniądz możnych, aby się dostać w kieszenie uboższych warstw, traktujących hodowlę i układ psów szlachetnych jako kwestyę zawodowego zarobku.

W naszym kraju, gdzie wszystkie choćby najświetniejsze projekty rozbijają się zwykle na oklepanej zwrotce „niema funduszów“ — zjawiają się od czasu do czasu szczenięta sprowadzone za drogie pieniądze z zagranicy — szczenięta, które oprócz obcej a tyle powabnej nazwy „pupies“ i wątpliwej wartości dokumentów rodowych, niczego za sobą nie mają, a w najlepszym nawet razie, wśród hodowli bez ściśle wytkniętego celu, choćby były najszlachetniejszym materyałem, giną w morzu niedbalstwa, które w całym kraju, z małymi bardzo wyjątkami, jest na tem polu powszechne.

Wdzięczne nadzwyczaj zadanie będzie miała u nas jakakolwiek korporacya, zawiązana w celu sprowadzenia hodowli psów na tory, jakie się jej już od dawna należą. Nie wątpię, że w miarę krzewienia się racyonalnych zasad hodowli i pod wpływem rozmaitego charakteru zachęty, zajęcie się przedmiotem ogarniać będzie coraz szersze koła, i może nam się uda wyrównać nieco rażące na tem polu zacofanie.

Kończę mą rozprawkę w nadziei, że gal. Towarzystwo łowieckie, jako najbardziej ku temu kompententne, nie czekając jakichś szczególnych sposobności, podejmie tę aktualną a tyle wdzięczną sprawę postępu — i padnie wreszcie ta *alea*, która podczas wystawy lwowskiej w 1894 paść nie mogła, a wtedy będzie dosyć czasu i sposobności do omawiania przyszłych celów i dążności hodowli naszych piesków-

„PANIE KOCHANKU“.

Książę Karol Radziwiłł, „Mój Panie Kochanku“,
W swoim zamku w Nieświeżu raz stanął na ganku,
Wydał rozkaz, by cały wnet orszak gotowy
Jego służby myśliwskiej wyruszył na łowy.
Na przedzie jechał łowczy na żmudzkim mierzynku,
Za nim stu zbrojnych strzelców w wojskowym ordynku.
Dalej szczwacze na drążkach prowadzą ogary,
Kundle groźne na sworach, psów gończych bez miary.
Wszystko spieszy wesoło i pełne ochoty,
Sto fur sieci, furgony, a na nich namioty.
Na wozach kuchnia pańska ciągnie za taborem,
A sam książę też wkrótce ma wyruszyć z dworem,
Więc dworzan liczna zgraja w koło się uwija,
Każdy gdzieś coś pomaga, albo broń nabija,
I każdy ucieszony — czy stary, czy młody,
Bo te łowy na puszczy, to królewskie gody!
A książę też z radości aż ręce zaciera,
Na długą się wyprawę gdzieś w puszczę wybiera...

Wtem wpada doktor, niemiec, w fraczku z żabotami,
Z harcopfem przy peruce, w trzewiczkach z klamrami,
Blady z strachu, z trudnością dech z piersi wyrywa,
Uchylając kapelusz, wreszcie się odzywa:
„Co Jaśnie Oświecony Książę znów ma w glowie?
„Der Teufel będzie teraz calkiem porwać zdrowie.
„Moja cala kuracya na nic się nie przyda:
„Nuż die Recidiv wróci! — Wielki będzie biéda!
„Ich sag nur so viel, Księciu: Do lóżka się schować,
„A nie na dzikie bestye po lasach polować!“

„Idź mi Waszeć do licha! Mój Panie Kochanku!
„Dość mnie długo już trzymasz ciągle na rumianku.
„Od twych baniek, pijawek, już nie czuję skóry,
„I łykam co dzień twoje przebrzydłe mikstury,
„A głodem tylko morzysz mnie ciągle, biedaka,
„I samą wodę piję, jakby kaczka jaka.
„A cóż to? Masz mnie chyba za zgniłego grzyba?
„Nic mi nie jest właściwie — jestem zdrów jak ryba!“

„Pacyent nigdy to nie wie, czy jest zdrów czy chory,
„Od tego to na świecie przecież są doktory!
„A od czego Fakultet? W tem jest cala racya!
„Sag nur so viel, że Księciu potrzebna kuracya!“

„Kiedyż ja się zdrów czuję! Mój Panie Kochanku!“

„Niks zdrów! Zaraz trza wypić trzy szklanki rumianku.
„Na wieczór będę jeszcze zapisać Gentiannę,
„I trochę Rumbarbarum i Hippecacuannę.
„Aderlass raz na miesiąc — trzy bańki za glową...
„Potem zadam Emetyk... ot! i będzie zdrowo!
„A teraz się do lóżka — also gleich — położyć!“

„Idź precz! Panie Kochanku! — A! nie tobie dożyć,
„By mi takie wyprawiać jeszcze ceregiele,
„Gdy mam jechać na łowy! Tego mi za wiele!
„Słuchaj!... Jakem Radziwiłł! Mój Panie Kochanku,
„Każę Waści bizuny wyliczyć na ganku.
„Masz ty w drogę mi włazić, gdy się chcę zabawić,
„Wróć raczej w Fakultecie twe androny prawić!“

Eskulap struchlał z trwogi i stał jak przybity.
Wiedział: z księciem nie żarty. Więc odszedł jak zmyty.
Lecz że się pańskiej klamki jak pies wiernie trzyma,
Bo już takiej praktyki drugiej w świecie nie ma.
Szybko zebrał się także, choć nie bardzo skory,
I wnet sam się uczepił gdzieś między tabory,
Wziął ze sobą przezornie, na usługi pana,
Wszystkie swoje potrzebne medyczne arcana:
Kilka flaszek z miksturą, puszczadła, pijawki
I instrument podobny z kształtu do sikawki.

*
* *

W ciemnej puszczy Rajgrodzkiej gwarno i wesoło,
Dźwięki rogów, grzmot strzałów, brzmią ciągle w około.
Książę, wraz z swą drużyną, wciąż w łowach na przedzie,
Poluje na jelenie, łosie i niedźwiedzie.
Na rumaku za psiarnią, zawsze jak lew silny,
Trudów nie zna, a każdy jego strzał niemylny.
Za każdym strzałem dźwięków się kaskada wzbiła
Z trąbki króla litewskich borów, Radziwiłła.
A chór wszystkich puszcz w koło, którym pieśń ta znana,
Echo niesie w dal jakąś na cześć swego pana.
Długo tak ciszę borów przerywały strzały,
A stare sosny puszczy zadziwione stały.
I książę śród tych łowów wesoło, radośnie,
Leciał ku swoim puszczom, jakby ptak ku wiośnie,
Zdrów na ciele i duchu — wciąż o łowach roił,
Wonią lasów rodzimych pierś balsamem poił.
Jednak, gdy już z wieczora w namiocie spoczywał,
Czasem z przyzwyczajenia Eskulapa wzywał.
Doktor wtedy przy łożu z powagą zasiadał,
I puls swego pacyenta pedantycznie badał,
Lecz tu jakoś z leczeniem mniej surowo było,
I zwykle na rumianku tylko się skończyło.
Dawać swoje mikstury, coś niemiał odwagi,
Bo puszcza to nie Nieśwież! nie trudno o plagi!

Książę był jak lew silny, a tak twardej skóry,
Że na niej trzy niedźwiedzie stępiły pazury,
Niegdyś grad kul moskiewskich ominął go przecie,
Śmierć go się nie czepiła w tak rozległym świecie.
I widać jaka była w nim żywotność spora,
Gdy zginąć nie potrafił nawet z rąk doktora.

*
* *

Raz książę szedł polanką. Przed nim chata cicha,
A w niej mieszkał staruszek, leśniczy Werycha.
Stary sługa pół wieku na leśnictwie siedział
I już o reszcie świata wcale nic nie wiedział.
Książę sługę starego z dawna bardzo lubił,
Choć go dłuższy czas jakoś z ócz był całkiem zgubił,
Stojąc dziś przed tą chatką uczuł urok błogi,
I bezzwłocznie z doktorem wstąpił w chaty progi.
Leśnik, biały jak gołąb, skoro ujrzał pana,
Zaraz mu, ze łzą w oku, uściskał kolana.
„Witaj, Panie Kochanku, jak się masz Werycho!
„Widzisz, znów mnie do puszczy dziś przygnało licho!

„Jak twe zdrowie? Zdrów, czerstwy? Mój Panie Kochanku!
„Nie trzymają cię widać, jak mnie, na rumianku.
„Ile lat sobie liczysz?...“
„Sługa Księcia szczery,
„Wyznam: lat sobie liczę osiemdziesiąt cztery.“

„I tak czerstwy!!“
„Pięćdziesiąt lat, jak gdyby w niebie
„Śród tej puszczy przeżyłem na książęcym chlebie,
„Ale czuję, że jeszcze zdrowie nie zawiedzie,
„Aby Księciu strzedz dalej łosie i niedźwiedzie!“

„Jakże żyłeś, by takiej doczekać starości?“

„Bogu dzięki mam zdrowe i ciało i kości.
„Mnie odmładza dech boży co przez puszczę wieje,
„W naszych borach się człowiek łatwo nie starzeje.
„To też w życiu nie znałem dotąd co są leki,
„Nie widziałem doktora dotąd, ni apteki.
„Zawsze li tylko wodę źródlaną pijałem,
„Nigdy wina ni wódki w mej gębie nie miałem.“

Na te słowa Eskulap nagle w mowę wpada:
„No, i cóż Książę na to?... Wszak to moja rada!
„Niech Książę całe życie tylko woda pije,
„To ja ręczę — ganz sicher — że sto lat przeżyje.
„Sag nur so viel!... Fakultet nasz to cały przyzna:
„Wino, piwo i wódka — największa trucizna!“

Wtem nagle, w drugiej izbie, jakoś tuż przy ścianie,
Jakieś się odezwało dziwaczne stękanie.
„Co to?“
„Ej! Jasny Książę niech o to nie pyta!
„Bo aż wstyd mi się przyznać! Nieszczęście... i kwita!“

„Lecz tam jęczy ktoś strasznie!“
„Ej!... to brat mój biedny!
„Pięć lat starszy odemnie! Niema chwili jednej,
„By mi wstydu nie zrobił... Zresztą człek pobożny —
„Za młodu pracowity i niegdyś zamożny.
„Gdy go Bóg dotknął stratą ukochanej żony,
„Popadł w nałóg okropny... i... człowiek stracony!
„Tak całkiem głowę stracił wśród ciężkiej rozterki,
„Zaczął jakoś zaglądać ciągle do manierki,
„I tak popadł w nieszczęście! — To rzeczą stwierdzoną:
„Lat sześćdziesiąt go trzeźwym nikt nie widział pono.
„Próżno nad nim płakałem — mówiłem pacierze...
„Darmo!... Ot — i dziś pijany — tam leży, jak zwierzę!“

A na to książę nagle wybuchł głośnym śmiechem,
I do swego doktora zwrócił się z pospiechem:
„No i cóż — wielcy mędrcy — wy na to powiecie?..
„Taż wy... Panie Kochanku! nic a nic nie wiecie!
„Niech jasny piorun strzeli w wasz Fakultet cały!
„Precz mi błaźnie z rumiankiem! Daj kielich gorzały!!...“

Podkamień 12. stycznia 1897.

L. Starzeński.

POLOWANIE NA ŁOSIE.

Bardzo wielu naszym myśliwym sama nazwa łosia przedstawia zwierza prawie przedpotowego, kryjącego się w głębokich puszczach litewskich. I tak też jest rzeczywiście, coraz go bowiem więcej cywilizacya wypycha na północny wschód, aż zupełnie zniknie z naszej polskiej łowieckiej fauny. Dlatego chciałem się z czytelnikami „Łowca“ podzielić wrażeniami, doznanemi na tak rzadkiem polowaniu, którego byłem uczestnikiem z końcem roku ubiegłego.

Już przed dwoma laty namawiał mnie hr. Andrzej Potocki na wycieczkę myśliwską do dóbr wołożyńskich, szwagra swojego hr. Michała Tyszkiewicza, lecz zawsze przeszkadzały nam, to raz odwilż, to znów zajęcia tak, że dopiero 10. grudnia roku zeszłego mieliśmy wyruszyć, aby być z powrotem na święta. Wszystko już było ułożone, wtem hiobowa wieść o odwilży wstrzymała nasze zapędy i zdawało się, że na Litwę już się nie dostaniemy, i że trzeba będzie *ad feliciora tempora* odłożyć naszą wyprawę myśliwską. Nagle, na tradycyjnem polowaniu wigilijnem w Krzeszowicach, pokazuje mi hr. A. Potocki dopiero co otrzymany telegram, donoszący o zwrocie temperatury i ustaleniu się mrozów, dozwalających przystępu do bagien, ojczyzny łosiów.

Wobec świąt nadchodzących i bliskiego Nowego Roku, zdawało nam się trudnem urzeczywistnienie naszych zamiarów. Z drugiej zaś strony, różnica kalendarza pozwalała, nam liczyć na 12 dni swobodnych. Po namyśle jednakże, że taka sposobność rzadko się zdarzyć może, postanowiliśmy wyjechać w niedzielę 27. grudnia. Hr. A. Potocki, jako kierownik polowania, naprędce telegraficznie wezwał naszą myśliwską drużynę na 28. grudnia do Warszawy. Należeli do niej następujący panowie: hr. Sylva Tarouca, St. Jastrzębski, St. Homolacs, hr. A. Potocki i ja.

Tymczasem, korzystając z łaskawych zaprosin hr. Ks. Branickiego na polowanie w Wilanowie na 28. grudnia, ruszyliśmy już z hr. A. Potockim pociągiem nocnym do Warszawy, aby po drodze jeszcze to polowanie odbyć. Nadmieniam o tem polowaniu tylko o tyle, aby wykazać, jakie postępy szanowanie zwierzyny zrobiło w Królestwie Polskiem. Najlepszym tego dowodem było właśnie polowanie w Wilanowie, w lesie nazwanym Kabaty, obszaru mniej więcej 900 morgów, w którym w 14 strzelb zabiliśmy 590 zajęcy, jednego bażanta i kunę. Rogaczy nie strzelano, lecz łatwo ich dwadzieścia paść mogło.

Po polowaniu wróciliśmy do Warszawy, gdzie w pałacu Krasińskich, jak było umówione, spotkaliśmy naszych towarzyszy i nocnym pociągiem ruszyliśmy do Wilna. W Wilnie, pomimo rannej pory, pojazdy hr. Tyszkiewiczów czekały na dworcu i śniadanie zastawione było w jednym z ich pałaców. Po odświeżeniu się po przebytej nocy koleją, zaprowadziliśmy naszych towarzyszy na Mszę świętą do-

Ostrej Bramy. Tu widok imponujący wszystkich przechodniów, bez różnicy wyznań, zdejmujących czapki na całej przestrzeni ulicy, wprowadza w zdumienie tych, którzy po raz pierwszy przez Wilno przejeżdżają. Jestto zdaje mi się jedyne miejsce na całej kuli ziemskiej, w którem Najświętsza Matka Boska jest tak okazale czczoną.

Lecz żyłka myśliwska pędziła nas do kniei naszych marzeń, to też podążyliśmy dalej około jedenastej koleją ku Mińsku. O drugiej po południu na stacyi Mołodeczna oczekiwał na nas sam gospodarz, hr. Michał Tyszkiewicz, donosząc nam, że śniadanie przygotowane we dworze w Mołodecznej, o dwie wiorsty od stacyi, ztamtąd zaś jeszcze czterdzieści pozostaną nam do przebycia, dążąc ku Wołożynowi.

Siadłem z hr. Sylwą do ślicznych sanek, zaprzężonych w szydło dzielnymi rumakami i ruszyliśmy z miejsca; kilkanaście sanek dla towarzyszy i służby podążało za nami Po śniadaniu, złożonem z specyałów krajowych i moskiewskich, jak kawiar i znakomita ryba siga, i po należytem ocenieniu starki litewskiej, szczególnie przez naszego cudzoziemca, któremu ten nektar krajowy był zupełnie obcy, wsiedliśmy napowrót do sanek i przy lekkim przymrozku puściliśmy się w dalszą drogę. Okolica przeważnie smutna, poprzeżynana bagnistemi łąkami, zupełnie płaska i mało zaludniona, przedstawiała nam widok zupełnie nowy. Cisza niczem nieprzerywana, tylko zgrzytem sani po zamarzniętym śniegu lub zachęceniem wesołem koni do ochoczego chodu, usposabiała poważnie, przytem zapadający zmrok jeszcze więcej podnosił urok tej jazdy, jak dla nas, po pustyni.

Wtem skręciwszy nad brzegiem wysokiego świerkowego boru, uderzyła nas łuna niby palących się lasów. Słupy ogniste wspinały się wysoko po drzewach, a gdzieniegdzie olbrzymie ogniska zanosiły nam w kłębach dymu woń palącej się smoły, w środku zaś roiło się od ludzi i koni. To było przywitanie słowiańskie naszego kochanego gospodarza na granicy jego majątku, i tu czekała na nas przeprzążka. Wsiedliśmy do drugich sanek, a przez las palące się beczki z smołą wskazywały nam drogę. Późnym wieczorem dojechaliśmy do Wołożyna, okazałej rezydencyi, położonej na wzgórzu, obok miasteczka tego nazwiska.

Zaraz na wstępie krzyżowały się pytania, odnoszące się do pana zarządcy: „A czy są łosie? wiele i gdzie? Czy otropione, czy mróz wystarczający?“ i t. d. — tak, jak gdybyśmy wszyscy byli świadomi położenia i mogli co poradzić. Najrozsądniej odezwał się hr. A. Potocki, któremu przypadało ciężkie zadanie prowadzenia polowania na nieznanym terenie: „A gdzie są plany lasów?“ Gdy tych zabrakło, gdy się dowiedział, że z podziału na sekcye są tylko ślady, zdecydował wobec poważnej odległości kniei, dwadzieścia wiorst wynoszącej, sam wyjechać o 5-tej zrana badać tropienie i stanowiska wyznaczyć.

Tu muszę na wstępie zauważyć, że w całym pięciodniowym przebiegu polowań, nie znając położenia, kierując się li tylko zmysłem myśliwskim, tak w wysokim stopniu mądrze wszystko było prowadzone i zastosowane, że tylko prawdziwy myśliwy i to myśliwy do poważnych łowów mógł się tak rozporządzić. Najlepszem uznaniem dla naszego łowczego było niedowierzanie początkowe tamtejszej straży myśliwskiej do naszego wodza, lecz prędko się zmieniły ich zapatrywania, widząc skuteczność danych rozporządzeń.

Już zatem rano, rozgorączkowani myślą przyszłych zdobytych laurów, w domu wytrzymać nie mogliśmy i pomimo zapewnień, że przed 11-tą nagonki jeszcze na miejscu być nie może, popędziliśmy do lasu. W leśniczówce uderzył nas widok czarujący i malowniczy. Przeszło stopięćdziesiąt saneczek, zaprzężonych w hołoble o jednym koniu, stały na obszernym majdanie, rojącym się nadchodzącą z wszech stron nagonką. Tę ostatnią straż leśna w tej chwili dzieliła na różne oddziały, wysyłając je do lasu na miejsce zborne. Tak musieli niegdyś nasi dziadowie polować w obszernych kniejach naszego kraju, kiedy łoś, jeleń, niedźwiedź i dzik ponury zastępywali nędznego szaraka, goszczącego teraz w ich zastępstwie w przetrzebionych lasach naszej ziemi.

Dla każdego z nas były przeznaczone saneczki, w które wsiadłszy, podążyliśmy za nagonką. Z powodu bagien i wielkiego śniegu jazda odbywa sie zwykle na jednym torze, tak nazwanego gęsiego, gdyż zboczenie z tego toru wywołuje natychmiastowy wywrót, lub przynajmniej zapadnięcie się konia w głębokie jamy jeszcze nie zamarzniętego błota. Tym też szlakiem dojechaliśmy po prawie godzinnej jeździe pod sam miot, gdzie na nas już czekał hr. A. Potocki, otoczony strażą leśną. Widok trzystu ludzi, zachowujących się pod miotem tak cicho, że muchę brzęczącą słyszećby można było, wprowadził nas w zachwyt i zarazem w zadumę! To jednak inni ludzie, jak nasi niesforni Mazurzy, lub też ci, którzy nimi rządzą, innemi, skuteczniejszemi kierują sie zasadami, aby w takiej karności utrzymać swój lud?

Hr. A. Potocki oświadczył nam, że sprawdziwszy tropienie, ma w jednym miocie sześć łosiów, w drugim cztery. Z powodu spóźnionej pory roku i niewiadomości, czy wszystkie łosie mają jeszcze rogi, było postanowione: każdemu wolno pierwszy raz strzelać bezwzględnie czy do byka czy do klempy, lecz po ubiciu jednej sztuki, każdy miał prawo strzelać już tylko do byków, inne zaś sztuki naganiać na sąsiada, który jeszcze nie był przyszedł do strzału.

Z bijącem sercem poszliśmy na wskazane nam przez hr. A. Potockiego stanowiska. Nagonkę podzielono na dwie części, które wypuszczane z każdego skrzydła, miały się zejść, okalając miot. W tej też chwili miał paść strzał, donoszący myśliwym, że miot osaczony. Wtedy ruchoma trzecia nagonka wewnętrzna, złożona z samych wyborowych ludzi, na znak strzału miała ruszyć ku nam, postępując cicho. Wszystko też zostało punktualnie wykonane. Moje stanowisko wypadało wśród gęstych zarośli na lewem skrzydle; obok stał hr. A. Potocki, dalej hr. Sylva Tarouca i reszta towarzyszy. Po dość długiem czekaniu pada nareszcie gdzieś daleko głuchy strzał, donoszący o ruszeniu nagonki. Jak iskra elektryczna strzał ten wszystkich niby struny wyprostował. Gorączkowo ściskając sztućce w rękach, natężaliśmy zmysły, aby najlżejszy szmer uchwycić, lub cień przesuwającego się zwierza w zaroślach zoczyć. Wtem pada jeden i drugi strzał, następnie znów dwa z manlichera, które poznaję po odgłosie, później jeszcze dwa strzały i nareszcie krzyk i wrzawa na lewem skrzydle oznajmiają mi po chwilce ciszy, że łosie uderzyły na flankę i prawdopodobnie się przebiły. Gdy bliskość nagonki wskazała nam, że miot już przeszły, pobiegłem, aby się dowiedzieć, co się stało. Na razie poskoczyłem ku stanowisku hr. Sylvy, zkąd padły dwa manlicherskie strzały, a znając jego wprawę, nie wątpiłem o rezultacie. Zastałem go też przy okazałej klempie, leżącej o dziesięć kroków za miotem; dalej był rozciągniąty duży byk, zastrzelony przez p. St. Jastrzębskiego, jeszcze z rogami, drugiego zaś, do którego strzelał, niepodobna było śladu dokładnego znaleść, gdyż wszyscy naraz cisnąc się, żeby zdobycz zobaczyć, pozacierali ślady.

Nie będę opisywał wszystkich miotów, branych równie systematycznie i ze znajomością iście myśliwską, posuniętą do tego stopnia, że każdy z nas do strzału przyszedł. Nie

łatwe zadanie w lesie nieznanym, kierując się tylko przypuszczeniami!

Można sobie wyobrazić wesoły powrót do domu, gawędzenie wieczorne i błogi sen pokrzepiający nas po trudach dziennych. W następnych dniach zabili, po łosiu, jeszcze jednego olbrzymiego byka p. St. Jastrzębski, hr. A. Potocki i ja młodego byka, który w ostatnim dniu w ostatniej nagonce szczęśliwie na trzydzieści kroków wyszedł na mnie. Strzał był niesłychanie łatwy, lecz utrudniony gorączką myśliwską, ekspres bowiem latał mi w ręku. Po dwóch strzałach, kiedy mi zwierz w gąszczu zginął z oczów, zerkałem ze stanowiska, aby zobaczyć na białej przestrzeni śnieżnej ślady farby lub postrzału, lecz naprózno; to też ledwie nagonka się zbliżyła, pobiegłem na ślad i pochylony nad tropami, skrupulatnie szukałem farby. Na to nadbiega p. Homolacs, pytając: „Co pan szuka?“ i na moje zdziwione spojrzenie, wskazując mi ręką o pięć kroków leżącego łosia, dodał: „Przecież tu leży“.

Radości mojej opisywać nie będę; każdy myśliwy skupiwszy ducha, niech sobie przypomni pierwszą zabitą sztukę, bodaj i drobnej zwierzyny, a myślą odczuje to, co się we mnie działo.

Zabito 5 łosi, 1 dzika i jednego głuszca.

Zbytecznemby było wpominać o znanej gościnności litewskiej, lecz tutaj w tak wykwintny a zarazem serdeczny sposób hr. Michał Tyszkiewicz podejmywał swych gości, że nam się serce radowało na widok cudzoziemca, pod wrażeniem tej naszej, nam dobrze znanej, swojskiej gościnności.

Stanisław Wodzicki.

Z POLOWAŃ W AUSTRALII.

Podaliśmy już niektóre wyjątki z wielce ciekawego dziennika podróży (*Tagebuch meiner Reise um die Erde*) arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este. Oto dalszy wyjątek z opisu polowań arcyksięcia w Australii.

Farma Badgery 23. maja.

...Pogoda sprzyjała, ciepłota się obniżyła. Przejeżdżaliśmy przez miasteczko Moss Vale, liczące 1240 mieszkańców i dużo will, wśród których i każdoczesny gubernator z Sydney ma swoją willę, zamieszkiwaną na czas gorących miesięcy letnich. Jadąc główną, pagórkowatą drogą, mijaliśmy małe osady, złożone z domów drewnianych, krytych falistą blachą, w czysto australskim „stylu“. Tu i owdzie ukazywały się pojedyńcze farmy wśród pastwisk, na których rosły z rzadka olbrzymie, suche obecnie eukaliptusy. Pomiędzy drzewami przelatywały krase papugi. Ubiłem kilka sztuk z gatunku *Platycercus elegans*, o upierzeniu karminowo-czerwonem z jasno-niebieskiemi skrzydłami i ogonami.

Przebywszy 13 kilometrów, wjechaliśmy w las, który, pomimo gospodarowania siekiery farmerskiej, posiadał jeszcze piękne, wysokie drzewa, przeważnie eukaliptusy i szpilkowce.

Towarzyszący nam Mr. Badgery zwrócił w pewnem miejscu uwagę naszą na drzewo, którego gałęzie zwieszały się szeroko ponad drogę. Spojrzawszy ku górze, ujrzałem na jednej z gałęzi dość duże zwierzę, skurczone i zawieszone łapami na wzór leniwców. Nie zdając sobie sprawy, co to może być, zmierzyłem się i strzeliłem doń śrutem. Strzał, pomimo tego, że był trafnym, nie wywarł wielkiego skutku, gdyż zwierz skurczył się tylko więcej i jeszcze silniej ścisnął łapami gałęź, na której wisiał. Dopiero po trzecim strzale zdawało się, że już nie żyje, chociaż w ogóle nie wiele w czasie strzelania się poruszał. Właśnie dałem polecenie, ażeby ktoś wylazł na drzewo, gdy wtem zagadkowy zwierz odczepił się od gałęzi i spadł na drogę. Dopiero teraz poznałem, że był to t. z. niedźwiedź australski (*Phascolarctus cinereus*). Należy on do rodzaju torbaczy, a przypomina swą postacią małego niedźwiadka. Zupełnie wyrośnięty, jest co najwyżej na metr długim, tułów ma krępy, okryty bardzo gęstem, miękkiem futrem, które na grzbiecie jest popielate, na brzuchu zaś białe. Głowę ma okrągłą jak kulę, mordę spłaszczoną, uszy stojące, kiściami włosów okryte. Pięć palców u nogi podzielone są na dwie grupy, u tylnych nóg drugi i trzeci palec zrośnięte, wielki palec zaś, oddający znaczne usługi przy spinaniu się po drzewach, jest bez paznokcia. Ubity przezemnie egzemplarz był samicą, posiadającą w torbie młode, które przy spadaniu z drzewa, z torby się wysunęło.

Główną charakterystyką australskiego niedźwiedzia jest jego lenistwo i apatya — jedyną jego zaletą zwinność w spinaniu się po drzewach, chociaż i w tem jest nadzwyczaj powolnym. Po pewnym czasie, natrafiwszy znów na niedźwiedzia australskiego, zawieszonego na drzewie, staraliśmy się spłoszyć go krzykiem i zniewolić do ucieczki, lecz nadaremnie. Zwierz nie zważał wcale na nasze hałasy; dopiero po jakimś czasie spojrzał na nas, zwracając leniwie głowę, wydrapał się o kilka centymetrów wyżej, i znowu zawiesił się spokojnie na gałęzi, skąd go celnym strzałem spuściłem.

Niedźwiedź australski złazi bardzo rzadko na ziemię i przesiaduje prawie wyłącznie na drzewach. Na jednem i tem samem drzewie siedzi dopóty, dopóki z niego nie poogryza wszystkich liści, które są jedynem jego pożywieniem. Dopiero wówczas złazi na ziemię i wydrapuje się na inne drzewo, aby znów liście ogryzać.

Z powodu tego nadzwyczaj flegmatycznego trybu życia, staje się niedźwiedź australski bardzo łatwą zdobyczą i byłby już dziś zupełnie wytępionym, gdyby nie to, że futro z niego nie wiele warte, a więc się na nie ludzie nie łakomią. Siedlisko niedźwiedzia australskiego ma być bardzo ograniczone; przebywa tylko w pewnych okolicach Nowo-południowej-Walii, a szczególniej w lasach na południowy zachód od Sydney.

I w ciągu dalszej podróży rozglądaliśmy się za niedźwiedziami australskimi, lecz nie wiele ich można było

zoczyć, gdyż barwa ich futra tak jest podobną do barwy kory drzew, na których przebywają, że trudno ich na drzewach od pnia i gałęzi rozróżnić. Mimo to udało mi się eszcze siedm sztuk ubić, przyczem byłem zawsze niesłychanie zdumiony biernością i nieczułością tego leniwego zwierza“.

Po przybyciu na farmę Badgery, mały dworek parterowy, otoczony stajniami i stodołami, urządzono zaraz polowanie na małe kangury t. z. „wallabies“. Wsiadłszy na konie, pochwytane na pastwisku, utworzyła świta arcyksięcia i miejscowi kawalkadę, złożoną z 25 jezdnych, z których część stanowiła nagonkę, część zaś wyciągnęła się w linię myśliwską Zaraz po zajęciu stanowisk poczęły się kangury pojawiać wśród gąstwiny leśnej, ogień zagrzmiał na całej linii i wkrótce 15 sztuk małych kangurów leżało na rozkładzie.

Małe kangury różnią się od olbrzymich kangurów znacznie żywszą, w brunatne mieniącą się barwą futra. Ubite sztuki obielono natychmiast z niesłychaną zręcznością.

W drugim miocie padło pięć małych kangurów, a nadto pojawiał się tu dość licznie nasz poczciwy europejski szarak, którego do Australii wprowadzono i gdzie się wybornie rozmnaża. W trzecim miocie, chociaż już słońce zachodziło, ubito znowu 15 „wallabies“ i dwa duże kangury. Małe kangury są w ogóle czujniejsze i szybsze w ucieczce od kangurów dużych. Czasem przypadają do ziemi, chcąc uniknąć oczu nagonki, i dopiero w ostatniej chwili wyskakują przed naganiaczem.

W nocy, do księżyca, urządzono polowanie na t. z. „opossum“ australskie (*Phalangista vulpina*), które nie jest wcale identyczne z opossum amerykańskiem (*Didelphys*). Zwierzę to zwane przez krajowców „kuzu“, jest torbaczem, podobnym nieco do wiewiórki i do lisa.

„Około godz. 8-mej — pisze arcyksiążę — zajaśniał księżyc w całej pełni, więc pod przewodem dwóch Australczyków, z rodzajem polowania na opossum dobrze obznajomionych, poszliśmy brzegiem lasu. Rozwinęliśmy się w linię i na polecenie przywódzców szliśmy głośno, ażeby płoszyć żerujące na ziemi opossumy i zniewolić je do ucieczki na drzewa. Uszliśmy zaledwie paręset metrów, gdy jeden z przewodników świsnął, dając mi znać, że ujrzał opossuma; wskazał mi przytem gałąź, na którą zwierze miało czas się schronić. Spoglądałem nadaremnie, przez dłuższy czas nie mogłem nic dojrzeć, dopiero gdym stanął od światła, zobaczyłem zarysy zwierza, które na wzór naszych kun do gałęzi przylgnęło. Po strzale padł zwierz martwy na ziemię.

„Opossum“ australski czyli „kuzu“ jest na pół metra długi, a okryty nadzwyczaj gęstą, wełnistą siercią, o ogonie puszystym jak lisia kita. Głowa zwierza, przez którą biegną dwie czarne smugi, zakończona jest mordeczką szpiczastą, przypominającą kunę. Wytrzeszcza są duże i piękne, słuchy stojące. W ogóle całe zwierzę przedstawia się bardzo pięknie. W ciągu dnia nie ukazuje się wcale; spoczywa w norach i dziupłach drzew i wychodzi z nich dopiero z nadejściem nocy. Zwierz to przeważnie roślinożerny, żywiący się trawą po lasach i na pastwiskach owczych. Nie jest on tak leniwym i ociężałym jak niedźwiedź australski, lecz bardzo ruchliwym i zwinnym, a dostawszy się na drzewo, przypada do gałęzi i leży tak bez ruchu.

„Ze względu na swe piękne i wyborne futerko, oraz dlatego, że napada czasem na kurniki i wyrządza w nich szkody, jest opossum australski przedmiotem zaciętych łowów, i stanie się niebawem zwierzęciem bardzo rzadkiem“.

Dnia następnego ułożono polowanie na skalne kangurki, które w skalistych jarach ponad rzeką przebywają. Jar, do którego się myśliwi dostali, miał bardzo spadziste, niemal pionowe ściany, zasiane skaliskami, z pomiędzy których krzaki i drzewa wyrastały. Spodem szumiała po kamieniach rzeka. Wszystko stanowiło bardzo malowniczą całość.

Nagonka nie mogła tu pospieszać na koniach, lecz szła, pieszo strzelając z batów i wkrótce też pokazały się skalne wallabies, które z nadzwyczajną zręcznością od skały do skały skaczą i kryją się, nie schodząc w doły, gdyż na równym terenie stają się nieporadne. Cały dzień siedzą one między skałami, w jaskiniach i szczelinach, i nocą dopiero wychodzą w okolicę na żer. Pocieszniejsze są one w ruchach od innych kangurów i wykonują dziwnie dalekie i odważne skoki. Najpiękniejszem też jest ich futro, na grzbiecie ciemno - brunatne z mieniącymi się srebrzysto końcami włosów, na brzuchu zaś żółte.

W pierwszym zaraz miocie wszczęła się kanonada, jak na zające, pełna ech, rozlegających się pośród skał. Wynikiem kanonady było 51 sztuk skalnych kangurków, z których 26 ubił sam arcyksiążę. Po pierwszym miocie, wzięto drugi, z biegiem rzeki i położono jeszcze 33 sztuk, z których 10 przypadło w udziele arcyksięciu.

Pragnieniem arcyksięcia przed wyjazdem z Australii było jeszcze ubicie dzióbaka, tego rzadkiego i tylko australskiej faunie właściwego zwierzęcia, które trzyma środek między ptactwem a ssakami.

„Choć mi nie rokowano powodzenia — pisze arcyksiążę — udałem się z jednym z przewodników po godz. 4-ej popołudniu nad rzekę. Po drodze spuściłem niedźwiedzia australskiego z wysokiego eukaliptusa. Rzeka, która w jarze spada z dzikim szumem po kamieniach, rozlewa się tu na dość dużej przestrzeni, tworząc spokojne źwierciadło wody. Brzegi jej są spadziste i skałami zasiane, w dole strzelają wysokie drzewa, przeglądające się w wodzie, a wszędzie panuje głucha cisza.

„Podkradliśmy się ostrożnie ku wodzie, lecz nie widzieliśmy żadnego zwierza. Wtem przewodnik mój uderzył mnie z lekka w ramię i wskazał milcząco ku wychylającym się po nad rzekę skałom. Na powierzchni mętnej wody ujrzałem tylko wąską, czarną, poruszającą się linię. Dałem ognia i ku wielkiej mej radości ujrzałem rzucającego się, śmiertelnie ugodzonego dzióbaka (*Ornitorhynchus paradoxus*). Wyłowiliśmy go zapomocą długiej żerdzi; był to duży, stary samiec.

„Zwierzę to jest w istocie bardzo szczególne. Dopiero od niewielu lat wiedzą uczeni o tem, że dzióbak znosi jaja, z których się dopiero w gnieździe młode wylęgają. Budową swego ciała i ruchami w wodzie przypomina wydrę i bobra, dorasta do długości 50 ctm., a u krótkich nóg posiada palce, zakończone ostrymi pazurami i zrośnięte błoną, która u przednich nóg nawet poza palce wystaje. Na tylnych nogach ma samiec po jednemu ku środkowi zwróconemu ostremu pazurowi, rodzaj ostrogi, której przeznaczenie dotychczas nie jest zbadane. Mniemano dawniej, że szpon ten jest jadowity i służy do obrony. Szczególną jest morda dzióbaka w kształcie kaczego dzióba, po brzegach miękkiego, za pomocą którego zwierz bardzo zręcznie wszelkie owady z wody wyławia. Ogon u dzióbaka jest krótki, ścięty, rzadkim włosem porośnięty, podobny do ogona bobrowego. Futro złożone z gęstych, długich włosów ciemnobrunatnej barwy o połysku srebrzystym, należy do bardzo ładnych. Sierć na gardle,

piersi i brzuchu jest jedwabistej miękkości. Oczy u dzióbaka są malutkie, uszy zaledwie widoczne.

„Dzióbak żyje na spokojnych wodach rzecznych i grzebie sobie w brzegach rzecznych norę, czasem i na 10 metrów długą, kończącą się kociołkiem, do którego prowadzą dwa wejścia, jedno pod zwierciadłem wody, drugie ponad wodą. Wczesnymi rankami i wieczorami uwija się dzióbak na powierzchni wody za zdobyczą, przyczem często nurkuje, ale się wnet znów wychyla, aby zaczerpnąć powietrza. Bardzo płochy i ostrożny, zmyka za najlżejszym szelestem do swej nory, albo kryje się wśród wodnych roślin i krzewów nadbrzeżnych. Zanim ma się z wody wychylić, widać już wydostające się z głębi bańki powietrza, poczem pojawia się dziób, głowa i grzbiet dzióbaka na powierzchni wody“.

Przechodząc na inne stanowiska, strzelał arcyksiążę na tej samej rzece jeszcze do dwóch dzióbaków, lecz z zanadto wielkiej odległości i bez skutku. Gdy już się ściemniło i wrócił na obiad do farmy, złożył mu Mr. Badgery życzenia z powodu tak rzadkiej zdobyczy, twierdząc, że na stu myśliwych, zaledwo jednemu uda się zabić dzióbaka.

Gdy księżyc zeszedł na pogodnem niebie, wybrał się arcyksiążę nocą na opossumy australskie i ubił 10 sztuk.

Trzeci dzień pobytu w Farmie Badgery poświęconym był rannej zasiadce na dzióbaki, której sprzyjała gęsta mgła, ścieląca się nad wodami rzeki. Zaledwo arcyksiążę stanął w nadbrzeżnej, drzewami zasłoniętej rozpadlinie skalnej, ujrzał wychylającego się z wody i odpływającego dzióbaka. Dobrym strzałem ubił go, lecz trudność zachodziła w wydobyciu go z wody, w tem miejscu głębokiej, bo nie było czółna, a nikt nie miał ochoty na lodowato zimną kąpiel. Jeden z Australczyków wpadł wówczas na dobry koncept: począł rzucać kamieniami w pobliże dzióbaka i wywołanemi w ten sposób falami zdołał go podsunąć ku brzegowi, tak, iż można go było żerdzią dosięgnąć i wydobyć. Był to również dorosły samiec.

Jeszcze jednego dzióbaka o jakie sto metrów dalej dojrzał arcyksiążę, lecz ten wychylił się tylko na moment z wody, poczem dał nurka i już się więcej nie pokazał. Dalsze polowanie na dzióbaki, chociaż je było widać z dala na rzece, stało się niemożliwem, gdyż Mr. Badgery, który waży 160 kilogramów i ma stosunkowy do tej wagi apetyt, okrutnie był głodnym. Spieszyło mu się z powrotem na śniadanie, więc wysunąwszy się na brzeg rzeki krzyczał z całych sił do arcyksięcia, sygnalizując mu krążące po wodzie dzióbaki. Ostrzeżone w ten sposób zwierzęta zaprzestały oczywiście swych pląsów po wodzie, schroniły się do podwodnych nor — i na tem się polowanie skończyło.

Jeszcze jedna wyprawa nocna uprzyjemniła arcyksięciu pobyt we farmie Badgery. Tym razem urządzono ją przy pomocy Australczyka, dobrego myśliwego, który miał trzy psy do wytrapiania opossumów, i wystawiania ich na drzewach.

„Na komendę „Go on!“ — pisze arcyksiążę — wpadły psy w las i wkrótce zaczęły na miejscu naszczekiwać. Gdym się zbliżył, ujrzałem je pod wysokim eukaliptusem z łbami w górę wzniesionymi. Światło księżyca wpadało tu korzystnie, ujrzałem więc niebawem jakieś zwierzę na gałęzi, a gdy strzeliłem, spadła na ziemię kuna australska, należąca także do rodzaju torbaczy (*Dasyurus viverrinus*). Jest to rabuś nocny, podobny s budowy do naszej kuny, o tułowiu kształtnem i wydłużonem, długiej szyi, foremnej główce i podłużnej czerwonej mordce. Ogon u tej kuny jest długi, puszysty, a palce u krótkich nóg opatrzone mocnymi pazurami. Futro jej na grzbiecie płowo-brunatne, biało nakrapiane, na brzuchu białe. Długość tego torbacza dochodzi do 40, ogon zaś do 30 centymetrów. Tryb jego życia jest taki sam jak opossumów australskich: dzień przebywa w norze, nocą zaś wychodzi na żer, a zakradłszy się do kurnika, morduje w nim wszystko bez opamiętania.

„Psy, zachęcone przez swego właściciela, poszły naprzód i wkrótce znów zaczęły naszczekiwać. Tym razem nadarzyła się nowość — nieznana nam dotychczas odmiana „kuzu“ z ogonem obrączkowanym. Wybornie polowało się z tymi trzema psami, gdyż podejmowały one doskonale każdy trop i zawsze wystawiły zwierza na drzewie. Szły za tropem cicho, a zaczynały naszczekiwać dopiero pod drzewem, przywołując myśliwego. Jeden z psów chwycił w ciągu tropienia kunę, która snać nie zdołała się już na drzewo schronić. Pomagał nam syn właściciela psów, chłopak dziesięcioletni, o wzroku tak bystrym, że zawsze pierwszy wyśledził zwierza na drzewie i z tryumfem mi go ukazywał. Gdy zdobycz z drzewa padła, chwytał ją zaraz, chroniąc przed rozognionymi psami. Do północy ubiłem w ten sposób 6 kun i 6 sztuk „kuzu“. Było to niewątpliwie bardzo rzadkie i wśród oryginalnych warunków odbyte polowanie“.

Psy zmęczone umknęły same do domu, a arcyksiążę wrócił po północy do farmy i nazajutrz opuścił ją, wracając do Moss Vale.

S.

KORESPONDENCYE.

Z Lisowic, w styczniu.

(Tysięczny rogacz).

Dwie ubiegłe zimy o niezmierzonych śniegach i w ślad zatem idącej trudności w wyżywieniu zwierzyny, wywołały wielkie obawy o zwierzostan sarni, tak dotąd stale się podnoszący w kniei lisowickiej. Jakże miłem było rozprószenie tych obaw na tegorocznem polowaniu zimowem! W roku z. padło 38 rogaczy, a z tych na zimowem polowaniu tylko 21; w obawie tedy przestrzelania rogaczy, polowaliśmy tylko pięć dni, a przecież ubito 51 rogaczy — razem zaś z jesiennemi łowami 68. W każdym miocie roiły się sarny, przeważnie dobrze odżywione, zaledwie kilka tegorocznych sztuk chudych można było zauważyć.

Do historyi Towarzystwa lisowickiego nadmienić wypada, iż na tem polowaniu padł tysięczny rogacz. Ku upamiętnieniu tego niezwykłego faktu, by w jednej kniei, w tem samem Towarzystwie myśliwskiem, osiągnięto tak wybitny rezultat, nazwano linię myśliwską, na której się doliczono tak wysokiej cyfry: „przerębem tysięcznego rogacza“.

Dzików spotkaliśmy mniej, niż zwykle — widocznie nie zeszły w niżej położone rewiry, które im żeru nie do-

starczają przy zupełnym braku żołędzi. Lisów, podobnie, jak w jesieni, bardzo mało.

Polowano od dnia 16. stycznia do dnia 30. włącznie o wyniku następującym: dzików 8, rogaczy 51, lisów 7, zajęcy 31, jarząbków 13, sowa uralska 1 — razem sztuk 111 na niewielką stosunkowo ilość 228 strzałów.

A. K. W.

Niemirów w styczniu.

(Zajęczy karnawał. — Nowa spółka myśliwska).

Powracam ze zajęczego karnawału. Dwa lata temu polowałem w Poznańskiem i wtedy padały „kotyliony“ setkakami, ale teraz chyba ich jeszcze więcej i śmiertelny taniec, jaki się im wyprawia, coraz jest bardziej ożywiony i ochoczy.

Pierwszego zaraz dnia w Spławiu u Dr. Witołda Skarzyńskiego ława była okazała: 650 zajęcy i kilkanaście królików, które w dwóch pierwszych leśnych miotach, jak szczury koło nóg biegały; królem, „abonowanym“ oddawna na to polowanie, był Zygmunt Kurnatowski z pokaźną liczbą 88 zajęcy, ale bo też ze swą dalekonośną angielką cudów dokazuje, ku niemałej zazdrości sąsiadów.

W nocy dostaliśmy się koleja w inną okolicę, aby być jeszcze na drugim dniu polowania w Dobrojewie, u hr. Stefana Kwileckiego; pierwszy dzień niestety kolidował ze Spławiem. Przyjechawszy rano na miejsce, pytamy najpierw o wczorajszy rezultat, będąc pewni,że zaimponujemy; tymczasem usłyszawszy o 769 zającach i 2 lisach, musieliśmy uznać przewagę. „A któż u was królował?“ — „Naturalnie że Kurnatowski Edward... 67 zajęcy“. Dwaj ci bracia są wprost niezwyciężonymi kandydatami do korony, i moje dalsze sprawozdania opiewać muszą ich prawie wyłączne tryumfy.

Drugi dzień Dobrojewski był mniej głośnym, ale za to same leśne nagonki miały dużo więcej uroku i urozmaicenia, niż pole — a jeżeli jednak narachowano wieczorem 194 zajęcy, 16 królików, 3 cietrzewie i rogatego jelenia, który, śrutem strzelony, padł wprawdzie po za granicą — to przecież każdy przyzna, że uczestnicy nie byli do pożałowania.

Z powyższemi równa się zupełnie polowanie we Wróblewie (ordynat hr. Węsierski-Kwilecki), gdzie padło zajęcy 711 i lis. Mądre „jontki“ wiedząc, gdzie koniec szybki bez mąk żadnych znajdą, cisnęły się tłumnie do E. K. (już go nawet w pełni nie wymieniam), który w dniu tym 110 wyroków śmierci podpisał. Wielka mi sztuka królować, gdy ich się w jednym kotle 52 utłucze; a tak gęsto szły na niego, że dał, dwoma strzelbami pracując, cztery z rzędu kwadruplety! E. K. tryumfował jeszcze w Oporowie (hr. Mieczysław Kwilecki), mając 40 zajęcy na 324 wogóle zabitych; zaś Z. K. przez dwa dni z rzędu u swego ojca, marszałka Stanisława Kurnatowskiego w Pożarowie, gdzie padło 438 zajęcy i 42 bażanty, tudzież u brata w Biezdrowie, gdzie w czterech kotłach ubito 455 kotów.

Na zakończenie jeszcze dwa polowania, gdzie panowie K. nie królowali — ale chyba dlatego tylko, że ich tam nie było. Myszków p. E. Żółtowskiego dostarczył również tylko w czterech kotłach sztuk 252. Pomimo groźnych rywali zdobył tu koronę hr. Stefan Kwilecki junior. W Bonikowie, u A. Chłapowskiego, na małym spacerku myśliwskim, od południa, w 7 strzelb, skróciliśmy żywot doczesny 230 szarakom — najwięcej, bo 42, zabił hr. E. Mycielski.

Suche to zestawienie cyfr nie może dać wyobrażenia o rozrywce i uciesze, jakich się tam doznaje. Ustawiczny widok zwierzyny i możliwość strzału sprawiają miłą emocyę w czasie nagonki — wzorowy ład i organizacya zadozadowolnią najbardziej wybrednego myśliwego, wytworna wreszcie, a przytem serdeczna gościnność ująć musi każdego uczestnika. Pomiędzy dniami łowów brakuje prawie czasu, aby choć powierzchownie oglądnąć wzorowe gospodarstwo. Hr. Stefan Kwilecki przez kilka godzin całemu gronu gości pokazywał li tylko zimowe skarby swego Dobrojewa — a nawet tamtejsi gospodarze byli nimi zachwyceni. Powiem jednak, *sub rosa*, że bodaj czy nie najwięcej zachwycaliśmy się wszyscy skarbami urody i wdzięku, jakie nam danem było podziwiać wśród grona uroczych Wielkopolanek, zjeżdżających się na wieczory i bale z polowaniami złączone.

Minęły jednak przyjemne te chwile i znów jestem wśród domowych penatów, a cieszę się, że przecież i z naszego zakątka coś donieść mogę o życiu myśliwskiem. W grudniu r. z. zawiązała się w Jaworowie „Spółka myśliwska“ z 15-tu członków złożona, której właściciel Jaworowa, hr. Ludwik Dębicki, odstąpił polowanie w rozległych swych lasach. Próbne łowy odbyły się w dniach 11. i 12. stycznia i padły: 1 cietrzew, 3 dziki, 5 lisów, 11 kozłów i 25 zajęcy. W każdym razie „*varietas delectat*“, a mam silną nadzieję, że za lat parę knieja ta, zwłaszcza stanem sarn, znakomicie się odznaczy.

K. Krusenstern.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Radziechowie, u Marszałka krajowego hr. Stanisława Badeniego, odbyło się w dniach 20, 21, 22 i 23 stycznia, polowanie w 11 strzelb. Padło na niem 24 dzików, 50 rogaczy, 55 zajęcy i 10 lisów. Strzałów dano 405.

— W Bereźnicy królewskiej, u p. Stanisława Pawlikowskiego, odbyło się polowanie dnia 16go stycznia, Braliśmy wszystkiego cztery mioty i w strzelb ośmnaście zabiliśmy 16 rogaczy, 33 zające, lisa, i sowę uralską — razem sztuk 51. Strzałów padło 140. Stan sarn nadzwyczajny — śmiało twierdzić mogę, że w lesie 500-morgowym jest z górą 100 sztuk. Pocieszającym był tego roku objaw, że stan zajęcy znacznie się podniósł.

Stefan Myczkowski.

— W Jaworowie, w lasach dóbr hr. Dębickiego, polowano w dniach 11. i 12. stycznia. Ubito 3 dziki, 11 kozłów, 5 lisów, 25 zajęcy i cietrzewia.

— W Muszkatowcach i Turylczu, u p. Albina Słoneckiego, na polowaniu, które się odbyło w dniach 25 i 26 stycznia w ośmnaście strzelb, padło 9 kozłów, 85 zajęcy i 2 lisy. Dziki uszły nie strzelane.

— W Uniżu, u p. Władysława Przybysławskiego, na polowaniu odbytem w dniach 9 i 10. grudnia z. r. ubito 7 dzików, 7 kozłów, 42 zajęcy i 2 lisy. Strzałów padło 132. Strzelano w ogóle do 17. dzików.

— Na polach Ordynacyi Łańcuckiej, ubito w ciągu r. 1896 zwierzyny drapieżnej: 62 lisów, 216 łasic, 67 tchórzy, 7 kun, 560 jastrzębi, kań i krogulców, 2 orły, 3 kruki, 2364 wron i srok, wreszcie 163 włóczących się psów

i 440 włóczących się kotów, razem 3884 sztuk. — Z zwierzyny pożytecznej ubito: 18 rogaczy, 768 zajęcy, 1678 bażantów, 261 kuropatw, 106 przepiórek, 6 słonek, 34 dubeltów, 24 kszyków, 27 kaczek krzyżówek, 5 indyków dzikich, innych ptaków 3 — razem 2932 sztuk.

Z literatury łowieckiej.

Kalendarz myśliwski na rok 1897 staraniem i nakładem firmy myśliwskiej B. Ronczewski w Warszawie. Cena 50 kop.

Od sześciu już lat wydaje „zakład puszkarski“ B. Ronczewskiego w Warszawie kalendarze myśliwskie. I na rok bieżący został taki kalendarz wydany. Nie jest on kieszonkowym i na notatnik przydatnym — jak to zwykle urządzają za granicą i jak też kalendarz „Łowca“ bywa wydawanym — lecz książką większych rozmiarów bez całorocznej części zapiskowej, a głównie rozprawkom z zakresu myśliwstwa poświęcony.

Część tę fachową rozpoczyna rozprawa p. J. Sztolcmana p. t. „Projekt ochrony niektórych drapieżników“. Autor występuje tu przeciw tępieniu niektórych, przez pospólstwo za szkodliwe uznawanych ptaków drapieżnych i w ślad za tem, co już nasza ustawa z d. 21. grudnia 1874 orzekła, bierze w obronę takie, które są tępicielami myszy, norników itp. jak *Archibuteo lagopus*, *Buteo vulgaris*, *Falco tinnunculus*, oraz sowy, sówki i inne ptaki spisem naszej ustawy za nieszkodliwe uznane. Rzecz szczególna, iż szanowny autor, powołujący się na Brehma i przytaczający listowną odpowiedź prof. Blasiusa co do szkodliwości a względnie użyteczności niektórych ptaków drapieżnych, zdaje się nie wiedzieć o tem, że sprawa ta sama, co do której jeszcze dziś u Blasiusa opinii zasięga, została już przed 22 laty w kraju sąsiednim, dla szanownego autora oczywiście nie obojętnym, ustawodawczo uregulowaną. Zaznaczyć wszakże wypada, że rady, jakie autor w końcowych punktach swej rozprawy daje, a mianowicie: potrzeba zakładania zbiorów ornitologicznych dla pouczania służby leśnej i myśliwskiej, wydanie tablicy z rysunkami i opisem szkodliwych i nieszkodliwych drapieżników, zmiana odpowiednia systemu co do wynagradzania za ubijanie drapieżników itp. są trafne i zasługiwałyby także w Królestwie na uregulowanie w drodze administracyjnej.

Dalsze artykuły traktują o układaniu wyżła, o broni myśliwskiej i o nabojach, zestawione przez B. Ronczewskiego; resztę kalendarza zaś wypełniają artykuły, będące przeważnie przedrukami z rożnych dzieł i pism. Jest tu ustęp z „Notatek myśliwskich“ hr. Józefa Potockiego, wspomnienie o wydrze Imc pana Paska, wyjęty z „Łowca“ artykuł W. Spausty p. t. „Dawni wróżbici“, „Hafciarz“, szkic Klemensa Junoszy, a zresztą kilka większych i kilka mniejszych artykułów, które powinnibyśmy pochwalić, bo w s z y s t k i e przedrukowane są z naszego pisma, chociaż nie wiedzieć dla jakich przyczyn nie był wydawca łaskaw przytoczyć „Łowca“ jako źródła ich pochodzenia.

Kalendarz kończy się cennikiem ilustrowanym firmy puszkarskiej B. Ronczewskiego i on prawdopodobnie stanowi też najcenniejszą część kalendarza dla wydawcy.

Der Jaeger als Sammler und Präparator von E. von Dombrowski, Berlin 1896. Preis M. 1·50.

Dla myśliwego, szczególniej polującego z dala od wielkich miast, gdzie mógłby znaleść pomoc w preparowaniu ciekawszych trofeów łowieckich, jest sztuka preparowania a przynajmniej główne jej podstawy wcale nie obojętne. Nieraz piękny i ciekawy okaz łowiecki przepada marnie, bo myśliwy nie wie, jak sobie począć, aby go od zepsucia uchronić.

Tej potrzebie stara się uczynić zadość książka Ernesta Dombrowskiego, płodnego pisarza niemieckiego w zakresie myśliwskim; podaje ona praktyczne skazówki, jak ma sobie myśliwy poczynać, aby odpowiednio zakonserwować skóry zwierząt ssących, ptaki, ptasie jaja, jak preparować szkielety, wieńce, rogi, porostki i t. d.

Pierwsza część książki poświęcona jest tworzeniu zbiorów ptactwa, skórek ptasich, jaj, gniazd, szkieletów zwierzęcych, całych zwierząt ssących i pojedyńczych części tychże. Część druga wprowadza już czytelnika szczegółowo w preparowanie ptaków i zwierząt ssących, w zdejmowanie skórek, bajcowanie, wypychanie itd. Tekst książki, objaśniony licznemi rycinami, rozwija się systematycznie, jasno, pouczająco — chociaż nikt zapewne nie będzie sądził, ażeby samo przeczytanie takiej książki miało już wykształcić preparatora. Żmudna ta praca wymaga niesłychanej wprawy, bogatego doświadczenia, wybornego znawstwa przyrody zwierząt a ponadto wszystko wrodzonego smaku, jeśli z pod ręki preparatora wyjść ma dzieło, odpowiadające prawdzie przyrody i zasadom piękna. Takich artystów jak Zontak we Lwowie czy Hodek w Wiedniu nie zdoła żadna instrukcya zastąpić i najpewniej postąpi zawsze ten myśliwy, który, zamiast puszczać się na niepewne próby preparowania, ciekawe trofea łowieckie doświadczonemu preparatorowi powierzy. *St.*

KRONIKA.

O niezwykłem polowaniu na rysia donoszą z Podhorodec koło Schodnicy: Od kilku już lat w okolicy naszej robią rysie wielkie spustoszenia w zwierzostanie i tak bardzo nędznym w naszych górach; opowiadają nawet, że przed paru tygodniami rysie rzuciły się na wieśniaka idącego nocą z Borysławia do wsi Orowa i poszarpały go. Dopiero teraz w lasach dóbr Podhorodce, własności księżnej Maryi Lubomirskiej, w rewirze Urycz, udało się leśniczemu p. Mariczowi z wielkim mozołem wytropić dwa ogromne rysie.

Pierwszego rysia ubito, drugi zaś ryś wymknął się z miotu i skrył się w rozpadlinie skały, zwanej „Ostry kamień“, w której pozostał, strzeżony przez gajowych, aż do dnia następnego. Nie mogąc go w żaden sposób z ropadliny tej wypędzić, użył leśniczy na drugi dzień do tego małego jamniczka. Piesek ten atakował rysia przez cztery godziny i dopiero nad wieczorem, ryś, sprzykrzywszy sobie ujadanie jamniczka, wysunął z rozpadliny nieco głowę z zamiarem ucieczki.

Widząc to, pan Maricz strzelił do niego, lecz tylko go zranił; po strzale ryś cofnął się do jamy, ciągnąc za sobą jamnika. Podleśniczy Bittner obawiając się, że psa może ryś rozszarpać, żerdzią jeszcze raz próbował rysia z rozpadliny wypędzić, lecz w tej chwili ryś pozostawia psa i rzuca się na kark Bittnerowi. Pan Maricz, który stał o parę kroków, strzelił kulą do rysia i podleśniczego uwolnił od niebezpieczeństwa. Fakt tem więcej godny uwagi, iż nie zdarzyło się nigdy, by jeden myśliwy strzelał rysia siedzącego na karku drugiego myśliwego.

Cztery żywe dziki złapał sztuką własnego pomysłu w lesie Kłodno wielkie (własność ks. Sapieżyny) leśniczy tamtejszy, p. Chęciński. Dziki zostały do zwierzyńca hr. Branickiej do Białocerkwi w klatkach umyślnie przyrządzonych koleją odesłane. Chęciński poniósł niemałą ofiarę, gdyż około 6 tygodni z leśnym podczas mrozów i wichrów nocami w lesie przesiadywał.

Wilk w mieście. Z Gurahumory na Bukowinie donoszą: że w dzień Nowego Roku pojawił się tamże wilk na ul. Żydowskiej. Tym razem przybył drapieżny gość na podwórko mieszczanina Miśkiewicza, ażeby jego nierogatemu inwentarzowi sprawić „noworoczne“. Źle się jednak wybrał: Miśkiewicz osaczył go i ubił drągiem.

W południowych Węgrzech grasowały także wilki tej zimy. Pewnej nocy zapędziły się aż do miasta Orsowy. Widziano dwie z tych bestyi niedaleko pierwszorzędnego hotelu. Zuchwalstwo swe jednak przypłaciły życiem. Ubił je rzeźnik miejscowy.

Wściekły wilk ukazał się w pobliżu miasteczka Dzisny, w gubernii wileńskiej; wpadłszy do miasteczka, pokąsał 9 osób. Wściekłe zwierzę zabite zostało dopiero w odległej o 6 wiorst wiosce. Chorych odesłano do zakładu leczniczego.

Instytut Pasteura w Paryżu oddaje ludzkości nadzwyczajne usługi leczeniem pokąsanych przez zwierzęta wściekłe. Procedura leczenia udoskonala się do tego stopnia, że z każdym rokiem staje się coraz mniejszym procent śmiertelności między pacyentami, których instytut przyjmuje. I tak w r. 1886 na 2671 pacyentów zmarło 25 tj. 0·94%, w r. 1890 spadł ten procent już na 0·32%, a w r. 1895, z pomiędzy 1520 pacyentów, umieszczonych w instytucie, zmarło już tylko 2, tj. 0·13%. Pomiędzy pacyentami r. 1895 było 1263 Francuzów, 173 Anglików, 20 osób z Indyi angielskich, 35 Szwajcarów, 11 Hiszpanów, 6 Belgijczyków, 6 Holendrów, 2 Greków, 2 Turków i 2 Egipcyan. Z całego tedy świata zjeżdżali się chorzy, zagrożeni najokropniejszą z chorób, ażeby szukać ratunku w dobroczynnym instytucie Pasteura.

O wzruszającym wypadku na polowaniu donoszą z Pernegg w Styryi. Na t. z. „Kirchkoglu“ odbywało się duże polowanie. Między innemi postrzelono na niem kozła, który wypadł po strzale z lasu i biegł gościńcem. Ujrzał go przechodzący właśnie chłop z Pernegg i puścił się za farbującym kozłem w pogoń. Scena zaczęła być zajmującą: kozioł rwał się naprzód, ile mu uchodzące siły dozwalały, za nim w całym pędzie gonił wieśniak. Przestrzeń stawała się coraz mniejszą, wreszcie kozioł słabnie, potyka się, ustaje — chłop go dogania, przewraca i dobywa noża, aby postrzelone zwierzę dobić. Lecz w tejże chwili chwieje się, ręki z nożem podnieść nie może i pada bez życia na dogorywające zwierzę. Zanim ludzie zdołali przybiedz, chłop był już trupem; spowodowany wytężającym biegiem udar sercowy położył go bez życia przy dopędzonej ofierze.

Wdzięczny kłusownik. W sierpniu ubiegłego roku schwytano koło Berleburga w Westfalii niebezpiecznego kłusownika i wsadzono go pod klucz. Nie długo tu jednak zdołano go utrzymać; wyłamał się i uciekł. W połowie października otrzymał zarządca więzienia pakiet niespodziewany z Antwerpii. Po otwarciu pakietu znalazł wewnątrz całe ubranie aresztanckie, jakiego w więzieniu berleburskiem używają, a przytem zająca i następny liścik: „Racz pan przyjąć tego zająca jako dowód wdzięczności za uprzejme obchodzenia się ze mną, gdym był pod pańskimi rozkazami. Pierwszego kozła, którego uda mi się sprzątnąć, nie omieszkam posłać panu sędziemu“. Co za wdzięczność!!

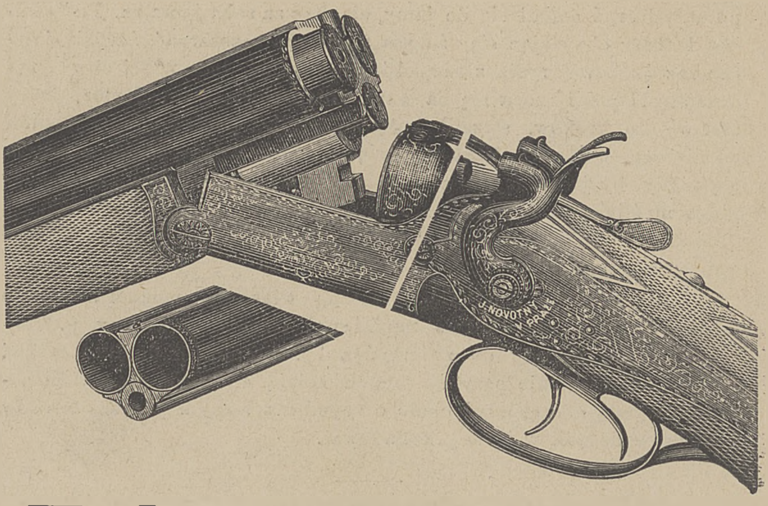
Zupełnie białą pustułkę bez najmniejszego piórka barwnego ubito w ostatnich czasach pod Berlinem.

Przesąd myśliwski znalazł ciekawą ilustracyę w odbytej niedawno temu licytacyi broni kłusowniczej. Była to nieszczególna zresztą strzelba po kłusowniku Sobczyku, który w roku ubiegłym w Bytomiu za zamordowanie człowieka, który go przydybał na kłusownictwie, śmiercią ukarany został. Strzelbę licytowano zaciekle, aż w końcu przysądzoną została jakiemuś karczmarzowi za 288 marek. Czy to rzecz moralna takie licytowanie broni kłusowniczej, pozostawiamy rządowi pruskiemu do rozpatrzenia.

Bobra wzięło w ochronę rosyjskie ministerstwo rolnictwa na wszystkich rzekach Syberyi i Kamczatki. Wydano tam zakaz polowania na bobry na lat 10 i postanowiono karać surowo przekraczających ten zakaz.

Prezydent francuski, podobnie jak każdy inny obywatel Francyi, pragnący polować, musi być zaopatrzony w kartę myśliwską, jeśli chce iść na polowanie. Jedno z pism francuskich podało nawet oryginalny rysopis prezydenta Faure'a z takiej karty myśliwskiej. Bywają też te rysopisy nieraz bardzo pocieszne, jak zwykle paszportowe opisywania osoby.

Licząc wedle wydanych kart myśliwskich przypada we Francy przeciętnie 10 myśliwych na każde 1000 mieszkańców. Najwięcej Nemrodów liczy departament Var, jest ich tam bowiem aż 9 na każdy 1000 dorosłych mężczyzn. Czy dla wszystkich wystarcza zwierzyny — to znowu inna kwestya.



Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie